EPOKA

ROK III. Warszawa, 5 września 1936 r. Nr. 7 (72)

Treść numeru:

OGNISTA LINJA

Czy trzeba jeszcze dowodów na to, że nacjonalizm jest kłamstwem? Kto właśnie tego nie dostrzegł dotąd, ten chyba ujrzał je wreszcie i zrozumiał w świetle pożaru, który ogarnął Hiszpanję i którego łuna bije na całą Europę.

Bo cóż głosi nacjonalizm? Głosi on, że naród każdy iść winien za ideą, która wyrosła z jego krwi, z jego ojczystej gleby. Lecz skoro tak, to jakże stać się mogło, że wszystkie nacjonalizmy świata nagle dały sobie *rendez-vous* w kwaterze generała Franco. Czem wytłumaczyć to, że wszystkie zgodnie przeciwstawiają się republikańskiej i pracowniczej demokracji, uosobionej w prawowitym rządzie hiszpańskim? Czyżby to gen. Franco był tym cudownym lekarzem, który ma w swojej wojennej aptece środki zbawienne i dla Włoch i dla Niemiec i dla Portugalji, Węgier, Jugosławji i Argentyny? Ależ takie pojęcie wspólnoty przeczy samym założeniom nacjonalizmu, który przecież w granicach każdego kraju okopuje się, jak w twierdzy, najeżonej armatami przeciw innym krajom. A więc jedno z dwojga: albo kłamstwem są antagonizmy, rozdzierające Europę wzdłuż wszystkich granic narodowych a wzniecane i jątrzone przez nacjonalizm, albo kłamstwem jest solidarność, która wszystkim krajom kazała współdziałać z rebelją generałów hiszpańskich. Ale solidarność nacjonalistów wobec wojny domowej w Hiszpanji nie jest tylko teorją i deklamacją: jest to solidarność czynna; jest to zjednoczony front bojowy, który wyraził się w obfitem zasilaniu rebeljantów, w blokadzie rządu legalnego.

Tu więc jest prawda, gdzie jest czyn. Prawdą jest solidarny front faszystowski, w którym Niemcy stoją obok Włoch, nacjonaliści francuscy obok włoskich, polscy obok niemieckich. Faszyzm bowiem i nacjonalizm jest niczem więcej, tylko rynsztunkiem bojowym świata wyzysku, walczącym ze światem pracy. Sam w sobie ów świat wyzysku nie jest jednolity i zgodny: każdej chwili gotów jest rozpętać wojnę narodów, gdy chodzi o podział łupu. Ale niech tylko w jednym z krajów podniesie się ruch z dołu, wymierzony przeciw sferom uprzywilejowanym, a natomiast sferom tym biegną na pomoc posiłki ze wszystkich stron bez względu na kordony graniczne i barwy narodowe. Znikają różnice, dzielące władców świata. Zamiast antagonizmów powstają dwa tylko wrogie obozy, dwie przeciwne siły dziejowe. Te dwie siły przeciwne, ścierające się ze sobą w wal-

ce na śmierć i życie, z niesłychaną oczywistością ujawniła ostatnia wojna domowa w Hiszpanji. Na tem właściwie polega wszechświatowe tej wojny znaczenie.

Wielu historyków usiłowało dociec oddawna, dlaczego Hiszpanja — to najpotężniejsze mocarstwo świata w wiekach XV i XVI stała się później straszydłem, przybranem w gronostaje grandów i mitry biskupów. Historycy szkoły liberalnej, zazwyczaj, tłumaczyli upadek ów w ten sposób, że polityka kolonjalna oraz próby utrzymania, w rękach Habsburgów, posiadłości, rozrzuconych po całej Europie wyczerpały siły tego kraju. Wszelako interpretacja taka dotyka zaledwie powierzchni zagadnienia. Istotna przyczyna zastoju i upadku Hiszpanji polega na tem, że feodałowie hiszpańscy, wzmógłszy się na siłach w wojnie z Maurami, którzy przedstawiali wobec nich postęp gospodarczy i kulturalny, zdołali zdławić już w XVI stuleciu ruch i rozwój miast. Zniszczyli oni w ten sposób ośrodki walki, dokoła których mogłoby zjednoczyć się chłopstwo, podnoszące głowę przeciw uciskowi magnaterji. Zdławiwszy miasta, magnaterja nad całym zaciążyła krajem. Mieszczaństwo hiszpańskie, podobnie jak mieszczaństwo w Polsce, stłumione w dniach swej młodości, już nigdy nie pozyskało siły i nie było zdolne do podjęcia walki z feudalizmem. Dlatego to w okresie, gdy najazd Napoleona I i grabieże wojsk napoleońskich wywołały masowy ruch narodowy przeciw najezdnikom, powstające zastępy chłopów nie znalazły w tej walce patrjotycznej innych przewodników prócz szlachty i kleru — a więc przedstawicieli reakcji.

Brak rozwijającego się przemysłu stał się przyczyną tego, że wszelkie próby podźwignięcia kraju z barłogu nędzy w wieku XIX wyładowywały się w buntach oficerskich, t. j. w bezpłodnych krwawych starciach rozmaitych klik szlacheckich albo też w walkach anarchistycznych, t. j. w ruchach rozproszonego proletarjatu rzemieślniczego, niedość silnego, aby postawić sobie za zadanie stanięcie na czele ruchu chłopskiego i siłami jego obalić zbutwiały feudalizm.

Tak wstąpiła Hiszpanja w okres wojen i przewrotów, rozpoczynający się wraz z początkiem imperjalizmu, jako państwo, wyzute ze źródeł siły nowoczesnej — sprężystego przemysłu i żywotnych klas współczesnych. Wprędce sama stała się ofiarą walki imperjalistycznej o podział świata, utraciła Filipiny, utraciła wyspy na morzu Karaibskiem, zachowawszy w spadku po swej dawnej potędze kolonjalnej mały jedynie skrawek północno - zachodniej Afryki, Marokko hiszpańskie. Ten okruch dawnego zamorskiego imperjum zachowała dzięki temu, że Marokko hiszpańskie położone jest naprzeciwko Gibraltaru, twierdzy angielskiej, strzegącej wstępu do morza Śródziemnego, co zmuszało Anglję zagradzać drogę każdemu silniejszemu państwu. W czasie wojny światowej dwór hiszpański, ziemiaństwo hiszpańskie a także pasorzytujący tamtejszy kapitał bankowy palił się do wzięcia udziału w rozboju powszechnym. Ale wszystkie te trzy możnowładcze czynniki rozumiały swoją słabość, rozumiały, że każda próba zaawanturowania się w wojnę mogłaby doprowadzić do rewolucji.

Cała powojenna historja Hiszpanji do roku 1931 jest beznadziejnym obrazem rozprzężenia i narastania przeciwieństw między bezprawną, głodną rzeszą robotników i chłopów a obrosłą przywilejami kastą obszarników i spekulantów. Dyktatura Primo de Riwery była wyrazem przeświadczenia ze strony klasy panującej, że ani chłopstwo, ani mnożący się proletarjat nie zechcą umierać z głodu, że nie cofną się przed walką z rabunkowym a zgniłym feudalizmem. Dyktatura wojskowa miała stać się tarczą, oddalającą moment pogromu klik feudalnych. Ale dyktatura ta, wsparta jedynie o brutalną, tępą soldateskę, nie potrafiła utrzymać władzy w rękach. Runęła ona w roku 1931, jak spróchniałe rusztowanie, otwierając drogę nowym walkom rewolucyjnym.

Pięciolecie między r. 1931 a 1936 było okresem wewnętrznych zmagań się prądów dyktatury faszystowskiej z prądami demokracji. Wybory z dn. 16 lutego 1936 r. dały w wyniku kompletny pogrom reakcji faszystowsko - obszarniczej. U steru rządów stanęła grupa demokracji miejskiej, popierana przez zastępy chłopskie i robotnicze a dążąca do gruntownego wyrugowania z kraju resztek feudalizmu. Zamierzała ona obmyć zastarzałe rany ludu, uwolnić od robactwa, usunąć truciznę, powodującą bezwład miljonów.

Zamiar ten wystarczył, ażeby kasta pasorzytów zawyła i jęła szykować zamachy na legalną władzę, powołaną do życia w drodze demokratycznych wyborów.

Banda generałów, którzy nigdy nie wygrali ani jednej bitwy z nieprzyjacielem zewnętrznym, związała się z bohaterami giełdy i kontrabandy, z księżmi i mnichami, ażeby udaremnić pierwszą poważną próbę mas ludowych, zmierzającą do wydobycia Hiszpanji spod gniotu feudalnego i kościelnego wyzysku.

Tak rozgorzała na półwyspie Iberyjskim wojna, która zrazu rozdarła Hiszpanję a potem rozdarła i całą Europę na dwa przeciwne obozy. I jeden i drugi obóz powołuje się na swe hekatomby ofiar i na heroizm swych żołnierzy; i jeden drugi wytyka przeciwnikowi bezwzględność i okrucieństwo w walce. Ale czyż, mimo to, nie bije w oczy prawda wołająca krzykiem, o co walczy jedna strona i o co walczy druga? Po jednej stronie walczy lud Hiszpanji, po drugiej dyktatura, która ludowi temu spowrotem chce narzucić jarzmo feudalizmu. Po jednej stronie dźwiga się protest z padołów nędzy i poniewierki mas, po drugiej idą do ataku wojska zaciężne, finansowane przez banki i kościoły, ażeby ten protest ludu wdeptać w ziemię i zatopić w krwi. Po jednej stronie walczy przyszłość Hiszpanji, jej demokracja, jej wolność i sprawiedliwość społeczna, po drugiej stoi 500 lat bestjalskiej eksploatacji i dzikiego obskurantyzmu.

Kto zwycięży? Kto przegra? Czy górę weźmie lud, walczący o chleb i pokój? Czy górę weźmie dyktatura przemocy, na pobojowisku, zasłanem trupami, gotująca się do nowych zbrojeń i wojen? To pewne, że zwycięstwo faszyzmu byłoby klęską Hiszpanji, a klęska Hiszpanji, uginającej szyi do jarzma wewnętrznej niewoli, położyłaby się nowym cieniem ponurym na mapie całej Europy. Dlatego to w losie Hiszpanji rozstrzyga się cząstka losu wszystkich innych krajów, a ognista linja, biegnąca wzdłuż jej bojowego frontu, stała się granicą, dzielącą cywilizację od barbarzyństwa.

ODGŁOSY

JAK POMÓC PREMJEROWI?

Premjer gen. Sławoj - Składkowski zagroził Berezą winnym oszczerczych artykułów i notatek w akcji politycznej. Szef rządu ma na myśli „kłamstwa i oszczerstwa mające na celu zohydzenie rządu i jego pracy oraz zanieczyszczanie atmosfery politycznej w Polsce". Ubolewa przytem, że „łatwowierność pewnych części społeczeństwa okazała się nie o wiele mniejsza, niż cynizm kłusowników słowa drukowanego". Premjer wzywa „do pomocy całą uczciwą prasę bez różnicy obozów politycznych oraz opinję społeczną" w niszczeniu „kłamstwa, obmowy i oszczerstwa".

Widać tu pewne nieporozumienie. Oszczerstwo jest bronią plugawą. Nikt nie zaprzeczy, że taką bronią posługuje się spora część naszej prasy. Z tem trzeba walczyć. Ciągle o tem piszemy. Premjer gen. Sławoj-Składkowski ma, owszem, powody do gniewu: w naszem życiu politycznem zbyt wydatny udział biorą „kłusownicy słowa drukowanego", którzy zatruwają atmosferę moralną zbiorowego życia, a zarazem w niejednym wypadku utrudniają krytykę tych posunięć rządu, jakie krytykę wywoływać muszą: niezawsze ma się ochotę stać w jakiejkolwiek sprawie w jednym szeregu z tymi, którzy uciekają się do obrzydliwych metod walki.

Premjer gen. Sławoj-Składkowski, słusznie oburzony na kłamstwa i oszczerstwa, utrudnił jednak tę pomoc, o jaką się zwraca do uczciwej prasy w tępieniu oszczerstw. Jakże mu bowiem pomóc, skoro winnym oszczerstw zagroził Berezą? Wysyłanie do Berezy to środek, który przecież nie wymaga pomocy prasy i społeczeństwa. Jest to, powiedzmy delikatnie, ów zabieg drastyczny, przy którym współudziału prasy i społeczeństwa nie można się spodziewać.

„Będziemy mieli taki poziom moralności publicznej i politycznej — oświadcza premjer gen. Sławoj-Składkowski — jaki sami stworzyć zdołamy". Nic bardziej oczywistego i słusznego. Lecz w walce o ten poziom rozporządzamy, na szczęście, innymi środkami, niż Bereza. Nie odbierajmy też sądom polskim zaszczytnej roli walki z oszczerstwem i kłamstwem. Kodeks karny daje tu broń skuteczną.

Opinja publiczna w walce o poziom moralności może silnie współdziałać z literą prawa i z instytucją sądu, pomoc natomiast prasy i społeczeństwa w wysyłaniu do Berezy, niesiona władzom administracyjnym, nie wydaje się możliwa.

Premjer utrudnił pomoc, o którą apeluje, nie znaczy to bynajmniej, by mu jej odmówić na drogach, nic wspólnego z Berezą niemających.

J. W.

KRWAWA MASKARADA

Takiego sądu nad spiskowcami, jak ostatni, który się skończył w Moskwie, dzieje rewolucji dotąd nie znały.

Właściwie już nie ludzi tam sądzono, tylko ich cienie, to był sąd nad widmami! Powiadają, jakby na usprawiedliwienie lub upozorowanie tej całej ohydy, że tkwiąca w duszy rosyjskiej potrzeba „raskajanja" za grzechy, jeszcze bardziej spotęgowała się obecnie w psychice ludzi oskarżonych o spisek przeciw proletarjackiemu państwu. I to widowisko miało być przedewszystkiem publiczną ekspiacją za śmiertelne grzechy, obrzędem ukorzenia się i pokuty. Tutaj jednak widać coś bardziej haniebnego: rozpłaszczono starych rewolucjonistów, wypruto z nich człowieczeństwo aż do ostatniego nerwu, zmuszając ich nie tylko do żarliwego samooskarżania, ale i do prześcigania się w gorliwości denuncjowania swoich wieloletnich towarzyszy walki z caratem, współuczestników cierpień w kazamatach i na Sybirze. Sponiewierano ich jako ludzi i jako rewolucjonistów, wycisnąwszy doszczętnie z ich dusz wszelką godność, dumę i dostojeństwo.

Władzy stalinowskiej, sprawującej sąd, chodziło najwidoczniej o uczynienie ze swych wrogów politycznych zwłok duchowych, o skazanie i stracenie już tylko moralnych trupów.

Nie chodzi tutaj bynajmniej o merytoryczną stronę sprawy moskiewskiej, nie o to, czy Zinowjew, Kamieniew, Smirnow i t. d. rzeczywiście knuli spisek przeciw naczelnym władzom sowieckim, rojąc o nowej roli i o innych drogach rozwojowych Rosji, ale jeżeli rząd stalinowski miał niewątpliwe dowody ich winy, to pocóż i komu potrzebna była ta długotrwała wiwisekcja moralna i fizyczna, i to bezgraniczne upodlenie ludzi, z którymi doniedawna dzieliło się władzę i kierowało losami rewolucji? Czyż to właśnie niebezpieczne było dla dzisiejszych tryumfatorów, że na szafot weszliby męczennicy idei, groźni bardziej po śmierci, niż byli za życia i czy dlatego musieli być mianowani pomocnikami Hitlera i agentami „Gestapo"?

Wszyscy ludzie wolni, pragnący wielkiej przebudowy świata, stają w bolesnej zadumie wobec tego krwawego, wstrząsającego widowiska.

H. Lu...

ZDUMIEWAJĄCA GORLIWOŚĆ

W notatce p. t. „Uczciwej prasie do wiadomości" Wolnomyśliciel Polski (Nr. 25) podaje, że wbrew kłamliwym twierdzeniom niemal całej prasy, rewizja, która się odbyła w lokalu Polskiego Związku Myśli Wolnej nie dała żadnego wyniku, nie znaleziono bowiem w lokalu tego związku dowodów działalności nielegalnej.

Jednakże lokal ten został opieczętowany, zaś działalność związku wolnomyślicieli zawiesiło starostwo grodzkie śródmiejsko-warszawskie, „ponieważ — czytamy dalej — miała się ona rzekomo przejawić w wydawaniu i kolportowaniu komunizujących wydawnictw i w dopuszczeniu do przechowania w lokalu Związku nielegalnych druków o charakterze wywrotowym". *Wolnomyśliciel Polski* informuje nadto, że „od tego postanowienia P. Z. M. W. wnosi odwołanie, gdyż Związek nigdy żadnych wydawnictw wogóle nie wydawał, a kolportował tylko wydawnictwa najzupełniej legalne."

Nie bacząc na to, że po upływie kilku dni od wydania powyższego postanowienia lokal Związku został z rozporządzenia władz otwarty, nie bacząc także na wyjaśnienie Związku w przedmiocie kolportowania tylko pism legalnych, Polski Związek Wydawców Dzienników i Czasopism postanowił usunąć ze związku wydawnictwa wolnomyślicieli, w dodatku usunąć pospiesznie, bezzwłocznie, nie czekając nawet na ostateczne wyjaśnienie sprawy.

Gorliwość represyjna Prezydjum Związku posunęła się aż tak daleko, że wzgardzono normalnym trybem postępowania i nie czekano na przepisowe zebranie się wszystkich członków Zarządu Głównego, lecz odrazu gotowe pismo posłano kurendą do swych członków. Osobliwe wrażenie sprawia ten pośpiech gorączkowy, rodzi się nawet podejrzenie, że niektórzy członkowie Prezydjum ulegli srożącej się dziś zarazie psychicznej: obawy „kramoły", nawet tam gdzie jej niema.

Jednakże zapowiedzią bardziej powściągliwego i przedmiotowego ustosunkowania się do tej sprawy jest to, że inicjatywa Prezydjum Związku nie spotkała się z jednomyślną aprobatą Zarządu Głównego Związku Wydawców.

Jak pewnym żywiołom zależało na pośpiesznem załatwieniu tej sprawy, świadczy chociażby to, że jeszcze przed formalnem rozpatrzeniem jej przez władze związku, — wywleczona już została na światło dzienne przez „Mały Dziennik" Niepokalanów.

NOWY OBÓZ WYKLĘTYCH

Narodowa Partja Robotnicza, doniedawna jedna z przybudówek endecji, obecnie upadła w jej oczach i popadła w niełaskę całego obozu „bogoojczyźnianego" za przeciwstawienie się kanonom wyznania faszystowskiego. Oto bowiem N. P. R. wyłamała się z chóru wszechnarodowej reakcji, wspierającej moralnie Targowicę hiszpańską i stanęła po stronie osaczonej republiki. I ten jeden odruch obrażonego sumienia wystarczył, żeby narodowa i katolicka partja robotnicza podzieliła los wszystkich nieendeckich ugrupowań: znalazła się odrazu na indeksie i w obozie „żydo-komuny".

Przenikliwe i wieszcze *Słowo Pomorskie* uważa sobie więc za obowiązek otworzyć ludności pomorskiej oczy na stanowisko i poglądy kierowników Narodowej Partji Robotniczej na Pomorzu, którzy stają po stronie „frontu ludowego" i życząc zwycięstwa hiszpańskiej komunie, jednocześnie ubierają się w katolickie szatki „frontu Morges" i organizują obchody 16-ej rocznicy historycznej klęski, jaką bolszewickie forpoczty komunizmu z roku 1920 poniosły pod Warszawą".

Biedna Narodowa Partja Robotnicza! Na cóż się zdała jej wierna służba u boku „chjeno-piasta", jej tyloletnie trzymanie warty przed okopami św. Trójcy, jej trwanie na czatach, by nie dać się zaskoczyć zdradzieckiemu duchowi socjalizmu. Na cóż jej dziś przyszło! Za całą żarliwość uczuć narodowych i katolickich znalazła się w obozie „masonów" i „żydokomunistów". Za jeden błysk niezmąconej faszyzmem świadomości! Zaprawdę: zaraza w Grenadzie, zawleczona tam przez hiszpańską muchę „Franco" z marokańskiego gnoju. I u nas już hiszpanka szaleje w narodowej Naprawie, pada na mózgi, a wstecznictwo ustami pomorskiego i innego *Słowa* bredzi w malignie.

DUMA N.-D-cji

W 16-tą rocznicę odparcia wojsk bolszewickich od Warszawy, i Stronnictwo Narodowe urządziło swoje święto pod Radzyminem. Zgromadzenie endeckie po wysłuchaniu paru przemówień i wielu okrzyków, uchwaliło rezolucję, zaczynającą się od słów: „Wspominając z uczuciem wzniosłej dumy szesnastą rocznicę cudu nad Wisłą, stwierdzamy, iż stał się on dzięki patrjotycznemu wysiłkowi narodu polskiego" i t. d.

Endecja, która zawsze gardziła prawami logiki i konsekwentnego postępowania, i tutaj, w tej rezolucji, tyleż zresztą uroczyście-patetycznej, co fałszywej w tonie, potknęła się dość niefortunnie. Upoiła się, mianowicie, *dumą cudu:* więc jedno z dwojga, jeżeli ktoś nie ma zajączka w głowie: albo to nie był cud nad Wisłą i wtedy można być dumnym ze zwycięstwa, albo też było to nadnaturalne zjawisko cudu ze świata nadzmysłowego, niezależne od naszej siły i woli, i wtedy niema żadnej racji upajać się wzniosłą dumą, lecz przeciwnie, trzeba zgiąć karki i kolana w pokorze. Endecja miała niezbyt wielkie tytuły do upajania się zwycięstwem nad Wisłą: jej sztab główny wtedy uciekł do Poznania, a w chwili dokonywania się „Cudu" nie zaniechał zbożnej i wzniosłej pracy lżenia i plugawienia ówczesnych władz Rzeczypospolitej. Wodzowie endeccy byli wtenczas bardzo czynni, ale nie na szańcach Warszawy, broczącej krwią w obronie wolności kraju, lecz na zacisznym Placu Wolności w Poznaniu, gdzie wzywali do tworzenia separatystycznego rządu w Wielkopolsce!

Z DNIA NA DZIEŃ

FRAGMENT Z DJALOGU.

Charakterystyczny — a chciałoby się powiedzieć: reprezentacyjny — djalog sławnego kaprala Szczapy z Komendantem Piłsudskim (Belweder, 1919, luty) ogłosiła „Gazeta Polska" w numerze, poświęconym 16-ej rocznicy zwycięstw sierpniowych.

— — — — — — — — — — — — — — —

KOMENDANT: — Kiedyście po raz pierwszy widzieli kolej?

KAPRAL: — Chyba w 1898 lub w następnym roku, Komendancie.

KOMENDANT: — A gdzie?

KAPRAL: — W Lublinie.

KOMENDANT: — Urodziliście się tam?

KAPRAL: — Tak jest, Komendancie.

KOMENDANT: — W tym waszym Lublinie sieroty i wdowy krzywdzono i dlatego Chrystus odwrócił głowę na krzyżu w sądzie. O! i cóż wy na to?

KAPRAL: — Wola Boża, Komendancie. Ale zato Lublin ma ciekawy herb.

KOMENDANT: — Ciekawy? A cóż na nim takiego ciekawego?

KAPRAL: — Koza z profilu stojąc dęba skacze na choinę.

KOMENDANT: — Koza z profilu stojąc... hm... dęba skacze na choinę?... Co pan naplątał?

KAPRAL: — Nic, melduję posłusznie, koza stanęła dęba...

KOMENDANT: — Aha! Jak koń?.. Konia koza udawała? I skacze na choinę! Od tego ona i koza. Nic w tem ciekawego nie widzę.

KAPRAL: — Bo obywatel Komendant jeszcze nie wie, że to symbol.

KOMENDANT: — Czego?

KAPRAL: — Koza to magistrat, a ta choina — miasto. Stąd i przysłowie: na pochyłe drzewo i koza skacze.

— — — — — — — — — — — — — — —

Niektórzy starzy piłsudczycy — chłopy, jak się patrzy, pod pięćdziesiątkę albo i sędziwsi — wystylizowali w so-

bie dziwny rodzaj kokieterji, którą nazwaćby można *kokieterją infantylizmu*.

Gdy podają wspomnienia o swym wielkim Wodzu, aby jemu przydać wielkości, nie znajdują innego sposobu, tylko sami robią się tacy mali, mali, malusińscy. Takie urocze niewinne pisklęta. Rzekłbyś: sami siebie w krótkie ubierają majteczki, aby ich ktoś nie posądził o pełnoletniość. Te majtki dziecinne stały się już niemal strojem obowiązującym dla pewnego typu piłsudczyka, gdy snuje pasmo czcigodnych wspomnień z dalekiej i chmurnej przeszłości. No, i ta koza, która staje dęba...

— Dlaczego wielu z nas — medytuje tenże sławny kapral we wstępie do swego djalogu w *Gazecie Polskiej* — mówi do Wieniawy „Blociu"? Skąd ten „Blocio" przerobiony z Bolcia? Parę razy obiecywałem sobie zapytać o to Wieniawę; zawsze zapominam. I żeby mówić a się nie zastanowić!...

Plawda?... Jakie to oklopnie dziwne. I śtlaśnie ważne! Było „Bolcio" a złobilo się „Blocio". I żeby mówić a się nie zastanowić!...

Powiedzcie, państwo! Czy to nie cudowne dzieci, ci niektórzy starzy piłsudczycy? Tacy mali, maleńcy — a już karcą i zawstydzają się nawzajem, gdy który z nich „mówi a... się nie zastanawia".

— — — — — — — — — — — — — —

A przecież, wśród tej maskarady infantylizmu, spod robionego wdzięku kokieterji, raz po raz, niby złom skalny spoza mgły, wychyla się żelazna mowa faktów dziejowych, wyrywa się niecierpliwy tragiczny gest Piłsudskiego, usiłujący prawdę tych faktów zakląć w jakimś dobitnym wyrazie, w jakiejś błyskawicowej rewelacji.

Oto djalog potrąca o sprawę wychowania w Polsce, wreszcie o przedwojenne kadry „Strzelca". „Wychowanie w *Strzelcu* — powiada Piłsudski — miało wydać ludzi gotowych do rozpoczęcia awantury. A wiecie wy, co to jest w Polsce awantura?"

KAPRAL: — Melduję posłusznie: wiem.

KOMENDANT: — Więc powiedzcie.

Sławny kapral Szczapa, miast odpowiedzi, zaczyna miętolić po swojemu, ale tym razem Piłsudski przerywa mu i sięga do zasadniczych zasobów swej piołunowej żrącej wiedzy o Polsce:

— *Awanturą w Polsce* — mówi — *nazywa się przedewszystkiem każda odważna myśl. Każda, która może Polakom przynieść korzyść. Przeciw takiej myśli broni się Polska rękami i nogami.*

Tak. Awanturą nazywa się w Polsce każda myśl odważna i zbawienna. Niegdyś była taką myślą idea niepodległości. Dziś jest nią idea politycznego, gospodarczego i społecznego równouprawnienia wszystkich obywateli w imię powszechnego, wolnego dostępu do skarbów oświaty, wiedzy i kultury.

PROKLAMACJA.

— My jesteśmy większością! — orzekły razu pewnego dostojne dziury, pyszniące się w serze szwajcarskim.

Czy to nie program dla endecji? Czy to nie jej wyznanie wiary?

FAŁSZYWA LEGITYMACJA.

Ludzie, uzasadniając swe prawa lub uroszczenia powołują się chętnie na swe cierpienia i krzywdy.

Ale nie każde cierpienie jest legitymacją. Cierpienie bywa bezpłodne, gdy jest wynikiem głupstwa. Pożytecznie i twórczo cierpi ten tylko, kto cierpi w służbie prawdy.

WYDEPTANĄ DROGĄ.

Słuchając pewnych młodych i zażywnych byczków, maszerujących pod różgami faszyzmu, możnaby pomyśleć, że młodość polega na tem, aby iść noga w nogę, za byle kim, byle kupą posłusznie, karnie i ślepo.

Osobliwa to młodość, w istocie rzeczy djablo przypominająca starość i sklerozę. Osobliwa to młodość, która chce być młoda przez naśladownictwo... starych. Bo przecież ten, kto idąc, wybija nogą takt, narzucony przez gromadę, zawsze iść będzie drogą bitą i wydeptaną — bodaj od czasów Attyli i Tamerlana: trafi do koszar lub do okopów wojny, ale nie odkryje Ameryki i nie odkryje nawet sam siebie.

KS. KACZYŃSKI MA GŁOS!

Karol Czapek, światowej sławy pisarz czeski, w jednej z powieści swych stawia ciekawe zagadnienie: „Czy moralność płciowa — zapytuje — nie jest ugruntowana na tem niezadowoleniu, że *inni* ludzie użyją z sobą trochę uciechy?"

Spostrzeżenia, z którego ta złośliwa refleksja się zrodziła, z pewnością nie należy posuwać do zasady ogólnej. Trudno natomiast zaprzeczyć, że niedyskretnem a ciętem ostrzem godzi ona przedewszystkiem w osoby, dźwigające na sobie włosiennicę celibatu.

Ah, gdyby uwagami swemi na ten temat zechciał podzielić się ze światem ksiądz Zygmunt Kaczyński, tak wiele udzielający miejsca w swej Katolickiej Agencji Prasowej sprawom seksuologji!

PODAJMY DŁOŃ PIONIEROM ŚWIATŁA!

Blok Bezpartyjny, który przewodził Polsce w ciągu lat pięciu, w różnych dziedzinach życia wyrządził szkody, których nie odrobimy w ciągu lat piętnastu. Nigdzie jednak szkody te nie są tak dotkliwe, jak w dziedzinie oświaty.

On to bowiem, Blok Bezpartyjny, ciążąc na administracji państwowej, zatruł i wypełnił jadem stosunek między wsią chłopską a nauczycielem szkoły powszechnej. On zapędził nauczycielstwo polskie — tę jedyną reprezentację kultury — w służbę doraźnych potrzeb agitacyjnych. On nauczyciela dziatwy chłopskiej zdegradował i poniżył zależnością od władz obcych oświacie, od policji, dworu i plebanji.

Najmężniejsi — rzecz prosta — oparli się naciskowi. Ale czyż w zawodzie pracy codziennej można godność tej pracy opierać na heroiźmie?

A teraz pomyślcie, obywatele! Pomyślcie, że to dzieci wasze chodzą do szkół powszechnych i odpowiedzcie, czy ludzie upokorzeni zależnością mogliby uczniom swym dawać przykład rzetelności umysłowej i odwagi cywilnej?

Blok Bezpartyjny umarł, a raczej rozsypał się, jak próchno, lecz jakże długo jeszcze jego duch straszyć będzie pod dachem szkoły wiejskiej i miasteczkowej? Gdyby głos nasz mógł być na całą Polskę słyszany, chcielibyśmy stąd, z progów *Epoki*, zawołać do wszystkich pionierów oświaty: głowy do góry! strzeżcie swej godności, swej niezależnej postawy, swej dumy najszczytniejszego powołania! W rękach waszych spoczywa przyszłość myśli polskiej i charakteru polskiego.

Szkoła powszechna, choćby w najgłuchszej zagubiona wsi, ale wierna swej misji, ale zbratana z chłopem, to — jedyny prawdziwy start w pochodzie nowej, odradzającej się Polski, Polski ludowej.

MARA OTMARÓW.

P. Otmar-Berson, były korespondent *Gazety Polskiej* w Moskwie, występuje obecnie w innej roli, mianowicie jako prelegent Polskiego Radja. Naogół, wygłaszanie odczytów i pogadanek przed mikrofonem jest czynnością pożyteczną i godną szacunku, z tym jednak warunkiem, że odpowiadają one wymaganiom formy, objektywizmu i t. d., a przedewszystkiem prawdzie. Tymczasem p. Otmar-Berson prawem kaduka wygłasza przez radjo swoje niewyszukane, osobiste, apodyktyczne sądy, podając je w dodatku za opinję „olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego", jak to właśnie się zdarzyło dn. 16-go sierpnia w pogadance, poświęconej ocenie wypadków hiszpańskich.

Gromiąc słusznie śmiałość takiego wystąpienia przed mikrofonem, *Robotnik*

zapytuje, czemu Polskie Radjo, instytucja państwowa, „utrzymująca się z wkładek ludności, karmi tę ludność enuncjacjami, wywołującemi wśród niej oburzenie". Istotnie niewiadomo, z jakiego tytułu Polskie Radjo ma transmitować subjektywne poglądy p. Otmara-Bersona, których w dodatku nie podziela właśnie „olbrzymia większość społeczeństwa polskiego". Przeważający odłam naszej inteligencji pracującej, lwia część włościaństwa i klasy robotniczej, stanowiąca 90% narodu, potępiają inwazję faszystowską, prowadzoną przez rebeljantów hiszpańskich, afrykańskie wojska kolorowe, legję cudzoziemską i najemnych białogwardzistów rosyjskich, a finansowaną przez wstecznictwo europejskie i przez międzynarodową koalicję handlarzy śmierci.

Niech sobie p. Otmar-Berson żywi głębokie uczucie miłości dla hiszpańskich najeźdźców, niewiadomo tylko dlaczego właśnie Polskie Radjo ma jego polityczne sympatje roznosić po całym świecie, prezentując Polskę w oczach wielkich demokracji Zachodu jako gniazdo zacofania i poplecznicznkę hiszpańskiej Targowicy.

Cóż wspólnego może mieć patrjotyzm polski, wywodzący się duchowo z tradycji polskich wiekowych walk o swoją i cudzą wolność, z tą hiszpańską piramidą faszystowskiego gnoju, którego wonią tak się upajają dziś różne bersonowskie otmary i inne złowieszcze mary krwawej reakcji!

ŻEBY NIE POMIESZALI NAZWISK.

W Polsce bawi obecnie wycieczka uczonych angielskich i ekonomistów, socjologów, geografów pod przewodnictwem Johna Russela, członka Królewskiego Towarzystwa Naukowego w Londynie. Wszyscy ci uczeni należą do Instytutu Ekonomicznego w Londynie i do „The Play Society", a przybyli do Polski w celu zaznajomienia się z naszą kulturą i stanem gospodarczym, tudzież dla nawiązania z nami stosunków naukowych. Wycieczka ta wyznaczyła sobie marszrutę przez Pomorze, Poznań, Toruń, Warszawę, Puławy, Kazimierz, Wilno, później przez Kraków, Lwów do Pienin i Czorsztyna.

Każdy kulturalny Polak cieszy się z przyjazdu tej grupy uczonych angielskich, ale drży tylko z obawy, ażeby nasze czujne brukowce znów w tych naukowcach nie zwęszyli wysłanników „kominternu" i nie poszczuły przeciwko nim opinji publicznej, jak to się stało niedawno z intelektualistami francuskimi. Obawa ta jest tem więcej uzasadniona, że wycieczce angielskiej przewodzi p. John Russel, noszący to samo nazwisko, co znany i „czerwony" radykał, Bertrand Russel, a rzeczą jest wiadomą, iż nasi luminarze z prasy brukowej mają często prawdę objektywną w pogardzie, nie rzadko też grzeszą brakiem dokładnych wiadomości.

Może więc łatwo ich przerazić brzmienie nazwiska i znów wyrżną epistołę o „podżegaczach", kręcących się po Polsce i „wchodzących w styczność z żywiołami, objawiającemi oddawna sympatje komunistyczne".

ŻYCIORYS WOJCIECHA STPICZYŃSKIEGO

Wojciech Stpiczyński urodził się 24 kwietnia 1896 r. w Warszawie.

W roku 1911 przyjęty został do organizacji „Zarzewie" w gimnazjum Rychłowskiego, pierwszej szkolnej organizacji zarzewiackiej. Od 1915 roku należy do P. O. W.

W roku 1917 stanąwszy na czele akademickiego ruchu niepodległościowego, kieruje walką z okupantami na wyższych uczelniach.

Dnia 24 lipca 1917 r. aresztowany przez Niemców, jako posądzony o planowanie zamachu na Beselera, zostaje uwięziony w Cytadeli. Kolejno przebywa w Szczypiornie, później w Hawelburgu i twierdzy modlińskiej.

W listopadzie 1918 r. po powrocie Marszałka Piłsudskiego do kraju, tworzy Wojciech Stpiczyński wraz z pułkownikiem Sawickim Legję Akademicką i bierze udział w bitwach, wyróżniając się niepospolitą odwagą. Pod Gródkiem Jagiellońskim zostaje kontuzjowany.

W styczniu 1920 r. z ramienia P. O. W. organizuje powstanie na Górnym Śląsku. Mianowany delegatem ministra spraw wojskowych i sztabu generalnego, kierował akcją powstańczą na Górnym Śląsku aż do likwidacji 3-go powstania w r. 1922. W okresie 3-go powstania otrzymał mandat specjalny od Prezydjum Rady Ministrów do reprezentowania rządu wobec politycznego kierownictwa w powstaniu na Górnym Śląsku.

Za czyny męstwa żołnierskiego odznaczony krzyżem Virtuti Militari i podwójnym Krzyżem Walecznych, za rozpoczętą od młodości walkę niepodległościową — otrzymuje Krzyż Niepodległości.

W końcu 1921 r. zakłada tygodnik „Głos", na który spadaią ustawiczne konfiskaty, a wreszcie i zawieszenie. W roku 1923 „Głos" przemianowany był na „Głos Prawdy".

W dniach przewrotu majowego Wojciech Stpiczyński organizuje kwaterę prasową, wykonując szereg zadań zleconych mu przez Marszałka Piłsudskiego.

W lipcu 1926 r. tygodnik „Głos Prawdy" zostaje przekształcony na dziennik i wychodzi pod naczelnem kierownictwem Wojciecha Stpiczyńskiego. Ciężka codzienna praca przy warsztacie dziennikarskim staje się udziałem następnych lat jego życia. Nie zważając na przestrogi lekarzy, trwa Wojciech Stpiczyński w umiłowanej pracy, zawsze pełnej zapału. Pierwsze wywiady prasowe, udzielone przez Marszałka Piłsudskiego, spisuje w Belwederze Wojciech Stpiczyński.

W roku 1928 stan zdrowia jego doznał pogorszenia. Pod naciskiem lekarzy i przyjaciół udaje się na południe Francji. Gruźlica bierze w posiadanie lewe płuco. Jednak niespożyte siły organizmu Wojciecha Stpiczyńskiego, siły tak wielkie, że stanowiły zagadkę dla lekarzy, zwalczyły pierwsze stany choroby.

W międzyczasie Wojciech Stpiczyński wydaje szereg książek p. t. „Polska, która idzie", „Głos Prawdy", „Młodzieży, ciebie bałamucą", „Krwawy, pracowity cud roku 1920". Są one częściowo nowem opracowaniem ogłoszonych dawniej artykułów, częściowo nowemi pracami.

W listopadzie 1932 r. staje na czele „Kurjera Porannego".

Pracuje nieustannie, mimo pogarszający się stan zdrowia. Do dawnych zadań przyłącza nowe, jako poseł na Sejm.

Kilka dni przed zgonem udał się w sprawach prasowych do Paryża. Jechał tam już w groźnym stanie zdrowia, lecz wciąż pełen energji w pracy i walce.

Publicystyka polska traci w nim jednego z pisarzy najwybitniejszych.

CZYNNIKI UPADKU A ŹRÓDŁA ROZWOJU

Uwagi na tle ostatnich książek Al. Świętochowskiego i Wł. Grabskiego.

Artykuł poniższy jest trzecim z kolei ogniwem w rozwinięciu myśli, której ogniwa poprzednie ukazały się w nr. nr. „Epoki" 4 i 5, jako :„Przeszłość szlachecka w teraźniejszości" oraz „Najdziwniejsze przymierze". „Najdziwniejszem przymierzem" nazwaliśmy związek polityczny, jaki po przewrocie majowym r. 1926, wbrew jego pierwotnym założeniom, wytworzył się między obozem Piłsudczyków a magnaterją obszarniczą: ową wypróbowaną ostoją stuletnich w Polsce rządów zaborczych. Osobliwe to połączenie dokonało się pod hasłem wspólnej walki z sejmem, która niebawem przerodziła się w walkę z demokracją polityczną, a w dalszym ciągu w walkę z chłopstwem, z klasą robotniczą i z całym światem pracy. Ażeby powściągnąć nadmierne a rozbieżne uroszczenia sejmu, skrępowano te warstwy, które miały w nim przedstawicieli; skrępowano wszystko, co było i jest przyszłością Polski, a przypięto skrzydła upiorom Targowicy.

Współżycie polityczne — w ramach „najdziwniejszego przymierza" — spotkało się ze współżyciem towarzyskiem. Przewódcy polityczni ziemian (Radziwiłłowie, Lubomirscy, Raczyńscy, Potoccy, Sapiehowie, Meysztowicze, Bnińscy, Tyszkiewicze, Czartoryscy) umieli wciągnąć przedstawicieli obozu rządzącego w sferę swego obyczaju i swej etykiety oligarchicznej. „Atmosfera polowań w majątkach ziemiańskich — mówi Wł. Grabski — i przyjmowanie przez dwory obszarnicze przedstawicieli rządu i wojskowości wskrzeszało tradycje dawnej Polski: lud zaczął odczuwać to, *że to znów szlachta rządzi Polską*".

Gdy myślimy o atmosferze, w jakiej wykształciło się to współżycie przedstawicieli Państwa z magnaterją, mimowoli staje nam przed oczyma pewien epizod z przeszłości, o którym wspomina w pamiętnikach swych Edward Krasiński: epizod, związany z pierwszemi nieśmiałemi krokami, jakie Henryk Sienkiewicz, sławny już wtedy pisarz, stawiał w salonach Opinogóry: „Wstydzę się zawsze — usprawiedliwiał się on przed hrabią-ordynatem — zakończenia swego *Janka Muzykanta*. Leczyłem się z demagogji, jak z choroby, i już się wyleczyłem".

Magnaterja nasza, jak widać, ma cudowne własności lecznicze. Czy nie na podobną kurację z „demagogji" udali się do niej i ci, w których niegdyś, gdy wyruszali na bój o Polskę, skarżyły się ubogie i bezdomne skrzypce Janka - Muzykanta?

Wizyta wodza reżymu, złożona Radziwiłłom w Nieświeżu, na długo stała się pierwowzorem stosunków, zawiązywanych w każdem województwie i w każdem starostwie między ludźmi, sprawującymi władzę, a ludźmi, posiadającymi majątki ziemskie, fabryki i kopalnie. Rządy Państwa rozpostarły sieć swoich wzajemnych wpływów i oddziaływań ponad głowami chłopstwa i całego wogóle świata pracy. Wyższa biurokracja państwowa osądziła, że wolno jej zasiąść do wspólnego stołu z potentatami kapitału. To, co było przywarą dawnej Rzeczypospolitej, spowrotem ożyło w nowej. Państwo Polskie jawiło się człowiekowi pracy znów w postaci oligarchji, która zaciążyła na jego barkach. W osobie obszarnika zespoliło się znów dla chłopa wyobrażenie władzy publicznej z tytułem wielkiej własności prywatnej.

Obie książki — i Świętochowskiego i Grabskiego — mimo swych błędów, niedoborów i jednostronności, są wymownym, jak widzimy, przyczynkiem do djagnozy teraźniejszości polskiej, osobliwie cennym wtedy, gdy je zestawimy ze sobą i potraktujemy jedną jako dopełnienie drugiej.

Napróżno jednak szukalibyśmy w nich czegoś więcej ponad przyczynek do djagnozy. Obaj autorzy widzą zło, ale nie umieją i nie chcą wyjść poza nie. Świętochowski, gdy schodzi z gruntu materjałów, odtwarzających zbutwiałą a niewymarłą przeszłość, zaczyna bajać o zaletach pozytywizmu, upatrując w nim doktrynę wszechzbawienną chyba tylko dlatego, że była doktryną jego młodości. Władysław Grabski, osądzając wyłączność klasową ziemiaństwa, protestuje jednak stanowczo przeciwko „ideom klasowym". które jego zdaniem „są prawie wszędzie dla interesów Państwa niebezpieczne". I jeden i i drugi autor „interesy Państwa" utożsamia bez reszty z interesami grup, do których należy. I jeden i drugi stoi na stanowisku, że grupom tym podporządkowane być powinny warstwy chłopskie i robotnicze. Nie boli ich nędza mas. Niepokoi ich tylko, a może przeraża ów teror nędzy, który uprawia w Polsce kapitał obszarniczy i finansowy, oparłszy rządy swe na wyzysku chłopskiego i miejskiego świata pracy.

„Gorszące jest ideowo — mówi Grabski — gdy legjoniści, reprezentujący grupę, która najwyżej stawiała ideę niepodległości Polski, bratają się z tymi, którzy łatwo godzili się z zaborcami, zwalczają zaś a nawet prześladują tych, którzy byli przez zaborców ścigani za służenie idei Polski". Tak, jest to zjawisko niewątpliwie gorszące. A maluczkich, jak wiadomo, gorszyć nie należy.

Maluczcy powinni być tak ujarzmiani, aby jarzmo ucisku odczuwali jako łaskę dobroczynnej i wszechmocnej nad sobą opatrzności: w tem przykazaniu strategji klasowej mieści się cała najistotniejsza mądrość społeczna i narodowa tego świata, którego imieniem przemawiają i Władysław Grabski i Aleksander Świętochowski. Obaj, rzec można, zgromadzili przesłanki, z których nigdy nie wysnują wniosków.

Ale bądźmy spokojni. Wnioski wysnute będą przez innych: przez tych, którym właśnie Świętochowski i Grabski oczy otwierają na to, jak olbrzymim przewrotem w Polsce będzie radykalne wywłaszczenie obszarników. Ono to bowiem, obalając wpływy polityczne wielkiej własności ziemskiej, podetnie odwieczną a niewzruszoną dotąd ostoję wstecznictwa, ułatwi zdobycie władzy politycznej przez demokrację pracowniczą, a przedewszystkiem osiągnie to, co jest dziś w Polsce najpilniejsze: *odda ziemię w ręce tych, dla których będzie ona nie instrumentem panowania człowieka nad człowiekiem, ale warsztatem pracy i wytwórczości bądź indywidualnej, bądź współdzielczej. Ta rzecz najpilniejsza w Polsce jest też niezmiernie ważna dla Polski, dla utrwalenia jej niezawisłości.* Chłop bowiem a wespół z nim proletarjat miejski, zarówno robotniczy, jak inteligencki, są to dziś jedynie czynniki, na których wesprzeć się może odrodzona państwowość Polska.

Do nich należy wiek XX, jak wiek XIX należał do burżuazji, jak wieki dawniejsze należały do możnowładztwa i szlachty.

Rzeczpospolita Polska istniała póty, dopóki mogła opierać się na szlachcie. Gdy szlachta wygniła i trzeba było ciężar Państwa przesunąć na barki stanu trzeciego, ciężar osunął się w próżnię, bo stan trzeci w Polsce nie istniał, albo istniał, ale niedostatecznie.

Logika dziejowego procesu była jasna i rzeczywista: kończył się w Europie rząd szlachty, zaczynały się rządy mieszczaństwa. Ale ponieważ w Polsce miasta nie dorosły do sprawowania władzy, a chłop spał jeszcze snem nędzy i niewoli, więc *burżuazję polską w rządach nad krajem wyręczyły państwa obce*. Spóźniona i zahamowana w rozwoju burżuazja polska nigdy nie rozwinęła się w siłę samodzielną i zawsze pełniła tylko rolę pomocniczą przy boku obcego kapitału, pośrednicząc w wyzysku polskiego chłopa i robotnika, uprawianym na cudzy rachunek. Nie była ona klasą społeczną w historycznem tego słowa znaczeniu, ale raczej ajenturą handlową, wysługującą się zagranicznym panom. Ten służebny i służalczy charakter burżuazji polskiej sprawił, że stworzyła ona wprawdzie wiele fabryk i przedsiębiorstw, wiele zakładów zarobkowych, ale nie mogła stworzyć własnej kultury, własnego obyczaju i stylu. We wszystkich tych dziedzinach musiała zapożyczać się u szlachty. Niedarmo piewca naszej burżuazji, Bolesław Prus, sam zresztą szlachcic, gdy zapragnął dać w osobie Wokulskiego arcytyp polskiego mieszczanina, zaczął od tego, aby mu dorobić przyzwoity rodowód szlachecki. Cóż dziwnego, że przemysłowiec, fabrykant lub bankier, gdy doszedłszy do fortuny chciał dojść także do właściwej pozycji społecznej, *stylizował się na posiadacza ziemskiego: udział w tej kategorji posiadania był herbem nieodzownym dla każdej szczęśliwej karjery*.

Gdy więc burżuazja polska powstała jako ajentura obcego kapitału, grupa szlachecko-ziemiańska była dla niej wypożyczalnią kostjumów, fałszywych godeł i splendorów. Na takiej spółce obcych wpływów i rodzimego fałszu czyż można było oprzeć odbudowę własnego Państwa?

Wątek dziejowy, który ziemiaństwo wyprzędło do ostatniej nitki, mógł podjąć tylko chłop i wyłaniający się z chłopstwa robotnik a także inteligent, który sprawę ludu uznał za swoją, i nieraz bywał szlachcicem, ale już przestał być ziemianinem: jedyni prawi dziedzice niepodległości. Ale na to, aby chłop poczuł się tym dziedzicem i spadkobiercą, ileż musiało upłynąć lat! Musiało pęknąć na jego szyi jarzmo niewolnictwa, a potem jarzmo pańszczyzny. I musiały chociaż zgruba zabliźnić się rany, przez to jarzmo na szyi jego wyżarte. Lud wiejski musiał poczuć się panem choćby ubogiego zagona, choćby strzępka w sztandarze swobód obywatelskich. Musiał powstać i wystąpić do walki o swe prawa proletarjat fabryczny. Musiało powstać i urość w siłę i godność to wszystko, co w Polsce szlacheckiej było deptane. Na to potrzeba było zgórą stu lat! I dlatego sto lat zgórą czekaliśmy na niepodległość! *Czekaliśmy na człowieka i obywatela, który dojrzewał w duszy chłopa.*

Polski, pogrzebanej przez szlachtę, nie obudził róg Wernyhory, nie podniósł miecz Kordjana: wstała, gdy oprzeć się mogła na ramieniu chłopa, gdy odetchnąć mogła piersią robotnika.

Kiedy na ruinę a potem na odrodzenie Państwa Polskiego spoglądamy od strony archiwów i kancelaryj dyplomatycznych, można tomy całe pisać o przyczynach obu tych zdarzeń. Ale gdy zdarzenia te ujmiemy od strony djalektyki dziejowej, obfite rozprawy dadzą się streścić w niewielu zdaniach: *Polska załamała się u progu ery mieszczańskiej, odrodziła się u progu wielkiej ery chłopskiej i robotniczej.*

Okres naszej niewoli był okresem tryumfującego kapitalizmu. Wyzwolenie nasze było początkiem tryumfu świata pracy.

To jedno rozstrzyga o tem, gdzie tkwią czynniki naszego upadku, a gdzie biją *nasze źródła życia* i rozwoju. *Civis.*

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

„DZIECI".

Pisarz, którym mamy się dziś zająć, lwowianin Jan Brzoza, jest człowiekiem „z dołu", pisarzem nie z kaprysu ani z przypadku, ale z wewnętrznej, bardzo twardej i mozolnej konieczności. Przyszedł do literatury, albo mówiąc wyraźniej, wyrąbał sobie dostęp do niej z t. zw. dołu. Był robotnikiem, cieślą, zakosztował doli bezrobotnego aż po sam szczyt gorzkiego puharu doświadczeń i rozczarowań. Konkurs na pamiętnik bezrobotnego uświadomił mu jego własny talent i okazał ten talent światu.

Potem w szybkiem już tempie, w jaknajcięższych warunkach poczęły się ukazywać w prasie, rozbrzmiewać w radjo, krótkie szkice, nowelki, wiersze właśnie z tego świata pracy. A potem utwory większe, tematowo jednolite, ale bardzo wielostronne. A więc sceny dramatyczne p. t. „Załoga A" na tle wypadków w Klimontowie, wystawione przez teatr w Katowicach i drukowane w warszawskiej „Drodze". Obok tego szereg innych utworów dramatycznych. Książnica Atlas wypuściła niedawno w świat powieść Brzozy p. t. „Dzieci".

Brzoza, jak z tego widzimy, traktuje swój nowy a jak się okazuje, właściwy i prawdziwy zawód z robotniczą pasją i skrupulatnością. Niema święta w jego warsztacie. Niema tu przerwy ani bezrobocia. Pamięć, fantazja, wola twórcza są ustawicznie czynne. Nie można się skarżyć ani na brak surowca, ani rąk do pracy.

Dzięki temu Brzoza — wypadek nieczęsty na świecie — a w Polsce, gdzie znani pisarze nie mogą wyżyć z pracy literackiej, niesłychanie rzadki — stał się już nietylko artystycznie, ale i ekonomicznie zawodowym pisarzem t. j. człowiekiem żyjącym z tego co mu przynosi jego praca pisarska, choć z pewnością nienajświetniej.

Droga, którą Brzoza przebył, droga twarda i ciężka, odbiła się na jego postaci, która, jak zawsze u człowieka, jest zarówno testamentem przeszłości, jak wskazaniem na przyszłość. Młody ten, bo mniej więcej trzydziestokilkuletni człowiek jest dziś siwy. Ale zato krok jego jest dziwnie lekki, młodzieńczy. Jest to krok człowieka, mającego przed sobą długą drogę przez wiele cudownych krajów.

Dróg wiodących z dołu do góry było wiele, a teraz jest ich niesłychana ilość. Niemniejszą jest liczba opowieści o tych „z dołu". Ludzie, nienależący do tamtego świata, przechodzą na tamtą stronę po mos-

cie sentymentalizmu. Ci, dla których punktem wyjścia albo nakazem, mniejsza o to czy wewnętrznym czy zewnętrznym — jest doktryna, przesiewają przez jej sito żywy materjał, przyczem nierzadko praktyka kłóci się z teorją, zwłaszcza o ile ta ostatnia pochodzi z zewnątrz, nie z duszy pisarza.

Brzoza przez prymat własnych przeżyć i wspomnień mówi i pisze o życiu, o pracy i bezrobociu, o trudach i niedoli masy robotniczej, rzemieślniczej, przedmiejskiej, tej masy t. zw. małych ludzi, z pośród której wyszedł. Samo życie i wspomnienia mówią o sobie, dobierają barw i formują się w wykrzykniki — bez niczyjego dyktatu. Oto jest właściwy teren literatury: tworzyć kształty, oddawać i budzić wzruszenia, które po jedynie właściwej drodze prowadzą do czynu.

Bohaterem utworów Brzozy, zarówno dramatycznych jak powieściowych, a o te ostatnie chodzi nam przedewszystkiem, jest zbiorowość, jest tłum, jest warstwa. Forma tej twórczości jest reportażowa. Daje ona wizerunek rzeczywistości w danej chwili, na pewnym odcinku. Jednostki ludzkie są niemal że jedynie przykładami, podanemi na wyrywki, wydobytemi z pośród tysiąca podobnych. Akcji indywidualnej jest bardzo mało, a to, co się zbiorowo dzieje, służy najważniejszemu celowi, scharakteryzowaniu środowiska, jego nastrojów, doli, dążeń. Słowem, artystyczna forma współczesnej kroniki, której bohaterem jest zbiorowość.

Ale równocześnie artyzm, przerabiający swój materjał, stylizuje, tworzy dystans. Te reportaże powieściowe mają swój rytm poetycki, swoje epickie inwokacje, wprowadzenia, nawroty i refreny. Fantazja zrywa się do szerszego lotu i tak jakby pragnęła rozerwać dotychczasowe ramy. Brzoza umie doskonale stawiać postacie, lokować opisy, a jednak w „Dzieciach", choć czujemy, że terenem akcji jest Lwów, to jednak równocześnie zdajemy sobie z tego sprawę, że jest to nietylko Lwów, ale może coś więcej: miasto wogóle, miasto symbol, wydobyty z dotychczasowych, jednostkowych doświadczeń i obserwacyj, miasto - symbol, na którego tle pełne symboliczne postacie ludzkie stworzą kiedyś nową artystyczną rzeczywistość. *Dr. Włodzimierz Jampolski.*

RÓŻANIEC NĘDZY.

„W książkach, broszurach, artykułach i notatkach dziennikarskich — mówi Józef Wasowski w przedmowie do swej ostatniej pracy*) — rozrzucone są różne wiadomości o tragedjach nędzy. Wiadomości takie giną w nawale innych, nie przykuwają uwagi czytelnika, nie układają się w obraz dość wymowny. Należało zebrać pewną ilość faktów, cyfr i dokumentów, znaczenie ich uwypuklić, pewne wydarzenia opisać dokładniej, by dobrze uprzytomnić rzeczy najgorsze, okropne, obrażające człowieczeństwo samo".

Taki dydaktyczny cel kierował wytrawną ręką świetnego publicysty przy wyborze autentycznych „pa ciorków" polskiej krańcowej nędzy, z których nanizany różaniec podał myślącemu i czującemu czytelnikowi jakby mówiąc: „Masz, przyjrzyj się temu o czem nie wiesz, lub wiesz, ale wolisz nie myśleć, byś nie potrzebował się wstydzić, że w demokratycznej ojczyźnie naszej podobne zjawiska są nietylko możliwe lecz codzienne — i to nie czasu wojny czy rewolucji, lecz czasu budowania mocarstwowego Polski".

Jak w różańcu szereg drobnych zdrowaśkowych gałek przegradza większa — i tu mamy takie fakty, których pełna grozy wymowa każe dłużej się zastanowić nie nad samym już dokumentem ludzkiej niedoli, lecz nad konsekwencjami społecznemi takich zjawisk dla przyszłości narodu i państwa.

Że nędzarz wiejski pożycza sobie „ubrania" od polnego stracha na wróble, że bezrobotny, trując żonę i siebie, za wspólną zgodą, nie miał szczęścia do śmierci, bo choć postanowili umrzeć razem bo się kochali, i on truciznę „sprawiedliwie podzielił", ale umarła tylko ona — to są dramaty i tragedje osobnicze. Ale gdy czytamy, że całe gromady ludzkie w Polsce wiodą żywot troglodytów, gnieżdżąc się po jaskiniach; lub o tej wsi, gdzie o zmroku jedynem pełzającem światełkiem był kaganek w „szczęśliwej" chałupie, w której zdechł pies, więc można było wytopić z niego trochę łoju i uczynić tu dla siebie i sąsiadów na jeden wieczór „świetlicę"; gdy — co najokropniejsze — dowiadujemy się z wiarogodnego źródła, że wśród ubogiej ludności Górnego Śląska tu i owdzie 80% dzieci rodzice narkotyzują eterem zmieszanym z wodą i cukrem, bo wtedy dziecko „nie grymasi i zasypia szybko", i ten zabieg zastępuje im „kołysankę i... kolację" — to są zjawiska tak groźne i wymowne, że mogą nie przejąć do głębi chyba tylko te antyspołeczne, nastrząsające się bezwiednie z nakazu miłości bliźniego patologiczne typy, które zabiegają w obliczu takiej rzeczywistości o... fundowanie nowych różnych wyznań, kościołów lub wyciągając z ciemnej biedoty ostatni grosz na handlowe pośrednictwo między niebem a ziemią sławetnego „Rycerzyka".

Tym — różaniec nędzy, zebrany przez Wasowskiego, posłuży tylko za chytry argument propagandy na rzecz odmiany „dopustu bożego", spadającego na najnieszczęśliwszych za grzechy ... cudze.

Ale gdy trzeba będzie odpowiedzieć za grzechy własne — może być „płacz i zgrzytanie zębami".. poniewczasie. *Wacław Rogowicz.*

*) *Józef Wasowski:* „Może chcecie poznać prawdę...": Warszawa, 1936. Nakładem „Echa Społecznego".

DROGA NA SYBIR.

Silne musiało być przeżycie człowieka tej miary, co prof. Helena Radlińska, jeżeli w pewnej chwili porzuca naukową pracę, przerywa studja i siada do pisania książki — beletrystycznej*). I poczyna wywoływać w pamięci coś, co minęło — a żyje w postaci właśnie tak a nie inaczej skrystalizowanej indywidualności i przefiltrowuje to przez duszę dziecięcia.

Droga na Sybir po przez więzienne etapy, po przez rewizje, straże, upokorzenia, niedolę, wśród znęcania się nad godnością ludzką ze strony ciemnego spodlonego policyjno - strażniczego motłochu siepajek i niewolników. A wokoło, pośród zalewającej wszystko przemocy i upodlenia — gromada ludzi o jaźniach oczyszczonych płomieniem ideału, idzie, idzie oddzielona, wywyższona tylko przez własną wewnętrzną wartość. Siła moralna, co na szczytach tym ludziom żyć dawała przekreśla wszystkie cierpienia, zwłaszcza, że strącił je czas w otchłań niebytu, a wspomnienie uczyniło z nich spłaszczone ornamenty,

*) *Helena Radlińska:* Posiew Wolności. Nakładem „Naszej Księgarni", Warszawa 1936. Cena zł. 2.50.

dziś — tylko zdobiące całość, pogłębiające mroki tła innego obrazu.

Jest w tej podróży na Sybir coś ze zwycięskiego pochodu. I naprawdę, zupełnie zrozumiałe się staje serdeczne pożegnanie bohaterki opowiadania, Joasi, z ziemią sybirską kiedy przyszedł czas ucieczki do kraju, do nowych prac i wysiłków.

Ta ziemia sybirska, jej przyroda, jej lud opisany też jest w książce Radlińskiej z niesłychanem wyczuciem prawdy. Całe niespożyte piękno surowej puszczy, którą okwieca i rozzielenia lato krótkie a bujne przemawia do czytelnika. Znamy te obrazy z tylu książek — lecz obraz Radlińskiej nie traci na porównaniu — w jej drobnych, zrywkowych szkicach żyją i drzewa i lasy i zwierzęta — żyje może nawet pełniej niż gdzieindziej, człowiek tamtejszy.

I może, po zamknięciu książki, powstanie pytanie, dlaczegóż było stamtąd uciekać? Czemu porzucać to piękno i ten swoisty, pełen głębokiego czaru egzotyzm? poco było uchodzić stamtąd, gdzie przybysze znaleźli tyle serca, gdzie wnieśli tyle dobrego, gdzie każdy ich czyn budował — trwał — pomnażał szczęście?

Odpowiedź drga w każdym wierszu. Przecież wszystko to dziś tak jest piękne, bo rozsłonecznia je i oświetla nie co innego, tylko najczystsza tęsknota za własną ziemią, jej wolnością i jej przyszłością.

I dlatego piękna jest książka o „Posiewie wolności" P. Heleny Radlińskiej i wdzięczni jej jesteśmy, że znalazła chwile na jej napisanie.

Adam Uziembło.

NAUKA POLSKA.

Nauka polska jej potrzeby, organizacja i rozwój. T. XI. Warszawa 1936. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Str. VIII — 453. Cena 9 zł.

Ukazująca się od r. 1918 pod redakcją St. Michalskiego „Nauka Polska", organ Działu Naukowego Kasy im. Mianowskiego, jest poświęcona zagadnieniom naukoznawczym. Zamieszcza ona prace i studja z dziedziny socjologji nauki i psychologji twórczości naukowej, informuje o stanie i potrzebach nauki w Polsce, drukuje wiadomości, dotyczące historji organizacji nauki i popierania twórczości naukowej w kraju i zagranicą, zamieszcza recenzje i bibljografje ksążek z dziedziny naukoznawstwa.

Pierwsze stronice ostatniego jej (XXI) tomu zajmuje artykuł dra Tadeusza Makowieckiego p. t. „Józef Piłsudski i nauka". W artykule tym autor podkreśla głębokie zrozumienie Marszałka dla nauki, należącej do owych „imponderabiliów", o które walczył całe życie.

W artykule p. t. „Badania a nauczanie" dr. Bogdan Suchodolski analizuje zjawiska uczenia się, badania i nauczania. W epoce pozytywizmu panował pogląd na badanie, jako na funkcję zdobywania prawd o bycie, pogląd, który autor nazywa „rzeczowym". Z tego punktu widzenia zadaniem badacza jest objektywne odzwierciadlanie rzeczywistości, zadaniem nauczyciela — objektywne krzewienie wiedzy, obowiązkiem zaś ucznia — sumienne przyswajanie sobie pewnej liczby wiadomości. Temu poglądowi na naukę i oświatę autor przeciwstawia nową postawę wobec kultury, postawę humanistyczną, która jest protestem przeciwko przytłoczeniu człowieka przez kulturę objektywną. Nie będąc zaprzeczeniem stanowiska przyrodoznawstwa, humanizm jest próbą zorganizowania całej rzeczywistości z uwagi na kształcenie człowieka. Uczenie traktowane jest jako proces rozwoju osobowego, nie jako gromadzenie wiadomości. Człowiek nie powinien być narzędziem rozrastającej się wiedzy, ale winien z niej uczynić narzędzie swego rozwoju. Osiąganie i pogłębianie własnej kultury intelektualnej łączy badacza, nauczyciela i ucznia.

Prof. Konstanty Krzeczkowski w artykule „O stanowisko nauk praktycznych" zwraca uwagę na specyficzną odrębność tych nauk, które, spychane dotychczas do rzędu kunsztów, zasługują, jego zdaniem, na inne traktowanie przez metodologów nauki, gdyż posiadają swoje odrębne bogate życie i własną teorję.

Ciekawy psychologiczny szkic twórczości naukowej wielkiego pioniera nowoczesnych metod badania, Mikołaja Kopernika daje prof. Aleksander Birkenmajer w artykule p. t. „Jak tworzył Kopernik". Postać jednego z najznakomitszych przedstawicieli nauki polskiej, Emila Godlewskiego charakteryzuje wszechstronnie jako człowieka i jako badacza prof. Michał Korczewski (Emil Godlewski, senjor, jako człowiek i badacz).

Prof. Jan Rutkowski, w artykule „Twórcza praca naukowa i uniwersytety", rozważa trudności, wynikające z łączenia w szkolnictwie wyższem twórczej pracy naukowej z czynnościami pedagogicznemi.

O „Życiu naukowem współczesnego Poznania" informuje czytelnika obszernie prof. Zygmunt Lisowski; o „Nauce polskiej w Stanach Zjednoczonych A. P.", której stare i chlubne tradycje wiążą się jeszcze z pierwotnemi dziejami osadnictwa białych w północnej Ameryce, pisze Mieczysław Haiman.

Dział kroniki polskiej przynosi, jak zwykle, wiadomości dotyczące aktów ustawodawczych w sprawie nauki, sztuki oraz szkolnictwa wyższego.

W dziale tej kroniki, mówiącym o stanie i potrzebach nauk specjalnych dr. A. Jabłoński uzasadnia konieczność zorganizowania w Polsce badawczego instytutu fizyko-technicznego, niezbędnego dla rozwoju naukowej twórczości w tej dziedzinie, tak doniosłej, a tak upośledzonej w Polsce w porównaniu z innemi krajami. W sprawie stanu i potrzeb nauki polskiej w stosunku do poszczególnych regjonów zabiera głos w związku z ukazaniem się zbiorowej pracy Instytutu Śląskiego dr. L. Śliwiński.

Kronika zagraniczna informuje czytelnika o utworzeniu i działalności Doradczego Komitetu Naukowego (Science Advisory Board) w Stanach Zjednoczonych A. P., instytucji powołanej do życia przez prezydenta Roosevelta, mającej zaś na celu zapewnienie państwu w jego działalności pomocy nauki. Przynosi ona również wiadomości o ostatnich poczynaniach dwóch naczelnych amerykańskich instytucyj organizacyjno-naukowych (National Research Council i American Council of Learned Societies), o utworzonym w Paryżu Instytucie Historji Nauk i Techniki, o powstałej w Madrycie hiszpańskiej Fundacji Narodowej do popierania i organizowania badań naukowych i reform życia narodowego — wreszcie o konferencji w sprawie obrony wolności akademickiej, która się odbyła we wrześniu 1936 r. w Oxfordzie.

Obszerny dział recenzyjny obejmuje 29 sprawozdań z dzieł polskich i zagranicznych z zakresu naukoznawstwa.

BŁĘDY I GRZECHY CENZURY FILMOWEJ

Cenzura filmowa w Polsce nie ma szczęścia. Początkowo na jej czele stał Kazimierz Błeszyński, człowiek ceniony przez wszystkich. Krótko jednak cieszyli się nim filmowcy, nastąpiła bowiem „rewolucja pałacowa" i zastąpił go Leon Łuskino, który żadnych kwalifikacyj do zajmowania tego stanowiska nie posiadał. Po głośnym ataku świata literackiego i artystycznego, pułkownik Łuskino usunął się z Centralnego Biura Filmowego i miejsce jego zajął nowy naczelnik Józef Relidzyński. Trudno byłoby zrazu orzec, czy p. Relidzyński jest „the right man in the right place", w każdym razie jego „laury" zdobyte na polu rodzimej kinematografji, jako autora scenarjuszy „Tajemnica Przystanku Tramwajowego" i „Niewolnica Miłości" nie zdawały się predestynować go do zajmowania najwyższego stanowiska filmowego w państwie.

Cenzor Relidzyński nie pamięta już ideologji poety Relidzyńskiego, ani jego peanów na cześć wolności i stosuje do wszystkich filmów miarę polityczno-policyjną. Podczas gdy bezkarnie hulają po ekranach polskich liczne filmy o problematycznej wartości moralnej, najmniejsze uchybienie polityczne lub społeczne w treści czy też realizacji zabrania się wyświetlać.

Cenzura pozwala sobie niekiedy na przesadę naprawdę ekscentryczną. W roku ubiegłym pokazano naprzykład film produkcji czechosłowackiej „Janosik", jedno z najpiękniejszych dzieł kinematografji europejskiej ostatnich miesięcy, często cytowane przez krytyków francuskich, angielskich. Legenda Janosika, opracowana dla filmu przez wybitnego poetę słowackiego Jiri Mahena, posiadała charakter bodaj bardziej moralny i niewinny niż nasza legenda tetmajerowska. Jak słusznie podkreślił jeden z krytyków, zamiast rozbójnika, czyhającego na mienie bogaczy, zamiast pewnego rodzaju awangardzisty czynnego bolszewizmu, pokazano nam w filmie słowackim bojownika o wolność, obrońcę uciemiężonej Słowaczyzny w walce z węgierskimi uzurpatorami.

Podobno poselstwo węgierskie złożyło protest przeciwko barwom, w jakich odmalowano w tym obrazie węgierskiego magnata. Dziwne wydaje się jednak, że Węgry, które nie poczyniły żadnych kroków, aby uzyskać zakaz „Janosika" we Francji, w Niemczech czy w Anglji, tak gwałtownie stanęły w obronie reputacji swego obywatela z przed dwustu laty właśnie w Polsce! Jeśli tak istotnie było, żałować należy, że Centralne Biuro Filmowe tak pohopnie spełniło nieuzasadnione żądanie węgierskiej placówki dyplomatycznej.

Grzechy, tym razem natury społecznej, postawiły na indeksie Włodzimierza Medema, głośnego politycznego działacza. Grupa filmowców nakręciła mianowicie obraz z życia sanatorjum, nazwanego jego imieniem. Film nazywa się „Droga Młodych". Zakaz jego wyświetlania narobił w prasie wiele wrzawy. Przeważnie wszyscy znają „Drogę Młodych", jedynie ze słyszenia. Piszę o tej sprawie „en connaissance de cause", bo film widziałem. Zakaz cenzury był zbędny. Obraz ten, stojący pod względem artystycznym na bardzo wysokim poziomie, w swojej rzekomej propagandzie komunizmu jest niesłychanie naiwny i dziecinny. Jedyny realny skutek przesadnego stanowiska naszej cenzury jest ten, że film, wyprodukowany i zakazany w Polsce, wyświetlany będzie z powodzeniem, podwojonem posmakiem sensacji wynikającej z tego właśnie zakazu, w innych państwach europejskich i w Stanach Zjednoczonych.

Ta sama cenzura, która obawia się „destrukcyjnych" wpływów siedmioletnich nędzarzy żydowskich z „Drogi Młodych" i która musiała aż dwa razy obejrzeć „Dzisiejsze Czasy", aby zdecydować, czy nie wyciąć sceny pochodu bezrobotnych, ta sama cenzura z czystem sumieniem wydaje legitymacje dla niektórych filmów amerykańskich, będących idealną propagandą bandytyzmu i kanciarstwa. Wprawdzie przewidujące Centralne Biuro Filmowe uchroniło oczy polskich widzów filmowych od oglądania słynnych filmów gangsterskich „Scarface" i „G-Men", ale dozwoliło równocześnie wyświetlania szeregu innych obrazów tego samego typu, jak np. „Osaczona". Tajemnica tego braku konsekwencji jest niezbadana.

Strach przed kaprysami cenzury przerodził się dość szybko u niektórych przemysłowców filmowych w prawdziwą psychozę. W obawie zastrzeżeń cenzorów, przemysłowcy przyrządzają często film na własny sposób przed oddaniem go do Ministerstwa. Klasycznym przykładem „położenia" zgóry obrazu przez prewencyjne wypaczenie jego ideologji było zniszczenie istotnego znaczenia i zamaskowanie faktycznej osobowości bohaterów filmu „Potępieniec" (The Informer) przez umieszczenie na początku obrazu bezsensownego napisu. W obawie przed sankcjami i nożycami Relidzyńskiego, przeniesiono akcję z Irlandji do anonimowego państewka, z walk o Niepodległość uczyniono mętne osobiste porachunki, sinn-feiniści stali się plugawymi gangsterami. Nic dziwnego, że przy tak zniekształconem obliczu, znakomity ten film wywołał mierne uznanie. Nawet wybitniejsi krytycy, nie będący au courant zakulisowych machinacyj, przyłożyli rękę w nieświadomości swej do niepowodzenia dzieła tego na polskich ekranach.

We Francji rozpoczęła się niedawno wielka kampanja prasowa, w której najwybitniejsi luminarze literatury i sztuki domagają się zniesienia cenzury filmowej. Mam wrażenie, że nawet w radykalnej Francji cenzura odeprze ataki. U nas w każdym razie chwila zniesienia jej nie nastąpi tak rychło. Dlatego też musimy zadowolić się życzeniem, aby w komisji cenzuralnej zasiadali ludzie, mogący wykazać się jakimś rzetelnym stosunkiem do sztuki filmowej i... umiejący odróżnić muchę od słonia.

Karol Ford.



FILM

„BANDERA" W KINIE „PAN".

„Bandera" ma urok aktualności. Widzów pociąga może nietyle sam film, ile, że tłem jest życie hiszpańskiej Legji Cudzoziemskiej. Niezaprzeczenie podłożem atrakcyjności jest tu wojna domowa w Hiszpanji, chociaż akcja „Bandery" rozgrywa się w Marokku i podczas powstania Riffenów, a więc niedługo przed walkami, jakie toczą się obecnie na półwyspie Pirenejskim.

Ale właśnie sam film godny jest uwagi. Choćby dlatego, że mimo podobieństwa do innych filmów o Legji Cudzoziemskiej, widoczne jest, że twórcom „Bandery" chodziło nietylko o odtworzenie wątpliwego „romantyzmu" służby legjonowej.

Juljen Duvivier potrafił oddać w „Banderze" akcenty, jeszcze niewydobyte w filmach tego rodzaju.

Pełna ekspresji jest scena śmierci legjonisty, który gotów jest oddać życie, byle tylko zaspokoić pragnienie i który na krótko przed strzałem arabskim, jaki miał go dosięgnąć, powiada do przyjaciela: „Słuchaj — jeżeli stąd wyjdziesz żywy — idź na taką to a taką ulicę w Paryżu i powiedz moim przyjaciołom, że Mulot umarł *za szklankę wody* — pękną ze śmiechu". To mocna ironja człowieka, który poszedł na służbę w Legji, „bo tu lepiej płacą"— a zginął za szklankę wody.

W filmie Duviviera Legja Cudzoziemska jest zbieraniną przestępców, wykolejeńców i awanturników, którzy chcą zatrzeć przeszłość i „umrzeć z honorem". Śmierć z honorem zaś — to taki rodzaj śmierci, który kosztuje życie innych ludzi, jak np. Arabów walczących o wyzwolenie.

To może tłumaczy odpowiedź legjonisty Piotra Gilietha na zapytanie kapitana, czy wie, co to jest honor: „Teraz już wiem".

Całość koronuje scena apelu „bandery", — kiedy ostatni pozostały przy życiu legjonista — agent policyjny, przysłany dla wytropienia mordercy Piotra Gilietha, melduje o śmierci dwudziestu trzech z „bandery" i tylko na swoje nazwisko odpowiada: „Présent"!

Film dobrze wykonany. Akcja ciągła i dobrze wytrzymana.

„Bandera" jest nietylko filmem — jest także dokumentem.

Kaz. L.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

„OTWARTE RAMIONA"...

W n-rze 231-ym *Ilustrowanego Kurjera Codziennego* zamieszczono fotografję takiej sceny: do Constantine pod Kordobą wkraczają oddziały hiszpańskiej Legji Cudzoziemskiej. Na ulicy ludność cywilna z rękami na rozkaz wzniesionemi ku górze. Twarze wyraźnie przerażone. Żołnierze — z karabinami gotowymi do strzału i wymierzonymi w ludność.

A teraz... napisy *I. K. C.*: „Gdy wkraczają wojska wyzwoleńcze. Mieszkańcy miasteczka z otwartemi ramionami witaja wybawców".

Tę samą ilustrację zamieszczono w *Kurjerze Czerwonym* z napisem: „Przejmujący moment wkroczenia wojsk powstańczych do Constantine. Kobiety miejscowe wyległy tłumnie, błagając żołnierzy o oszczędzanie życia mieszkańców".

I. K. C. osiągnął tu prawdziwy rekord niezdarnej i tępej agitacji na rzecz hiszpańskiej rebelji. Te „otwarte ramiona" steroryzowanej i przerażonej ludności wywołały sporą uciechę nawet wśród niezbyt uważnych czytelników.

„PIĘKNA WALKA".

Jeden z redaktorów Polskiego Radja, zdając relację z przebiegu jakiejś tam walki bokserskiej na Olimpiadzie berlińskiej, popadł w prawdziwą ekstazę. Mówił z najwyższem podnieceniem i w tempie nerwowem:

„Proszę państwa... o! wymierzył mu cios potężny... proszę państwa... walka nadzwyczajna... X. nie widzi na jedno oko... Teraz... proszę państwa, Y. masuje mu brzuch... A teraz, teraz — walka dochodzi do zenitu. X. ma zakrwawioną twarz... Nadzwyczajna, piękna walka!"

Taki był zachwycony. Zakrwawiona twarz, uszkodzone oko — to dla niego „piękna walka"...

Możeby dyrekcja Polskiego Radja zahamowała na przyszłość tego rodzaju propagandę bokserskiego bestjalstwa.

JAK KTO CHCE...

W sprawozdaniach z manifestacyj w dn. 15 sierpnia podawano najrozmaitsze liczby uczestników. Według „Polskiej Agencji Agrarnej" w manifestacji Stronnictwa Ludowego w Wierzchosławicach wzięło udział ponad 30.000 uczestników, w Rzeszowie 25.000. Według zaś półurzędowej agencji „Iskra" w Wierzchosławicach wzięło udział 10.000 uczestników, a w Rzeszowie ok. 5.000...

Różnica w obliczeniach niemała.

Z PANOPTICUM.

Ukazuje się w Warszawie świstek p. n. *„Pismo Polaków"*. Jest to interesujący płód chorego umysłu. Pod samym nagłówkiem — „ostrzeżenie": „Czytać mają prawo tylko Polacy".

W „nadzwyczajnem wydaniu" tego pisma czytamy:

„Polacy-Robotnicy zrozumieli, że kryzys jest wytworem fantazji wielkich panów dziedziców — nierobów, którzy dla egoistycznych celów i z zemsty za to, że świat roboczy po wojnie pewne socjalne prawa uzurpowane przez dziedziców odebrał, stworzyli kryzys bardzo pięknie obmyślany i podsunięty dziedzicom — nierobom przez kapitalistów — żydów. Kryzys to: dziedzic-nierób; to kapitalista — żyd. Kryzys to egoista. Zwycięstwo Zjednoczonej Partji polegać będzie na tem, że zmieni kretyńskie mędrkowanie partyjników na logiczne myślenie Polaków i na tem, że Zjednoczona Partja z partyjników uczyni Polaków. Zwyciężą Polacy-Robotnicy, a narodowcy, sanatorzy, komuna i inni zginą".

ROZKAZY DLA PRASY WŁOSKIEJ.

Jeden z organów emigracji włoskiej w Paryżu, tygodnik *„Giustizia e Liberta"* ogłasza szereg okólników, jakie rząd faszystowski rozsyła prasie. Numer z d. 27 lipca r. b. przynosi spis pod nagłówkiem: *„Dwa miesiące życia faszystowskiego w zwierciadle tajnych rozporządzeń prasowych"*. Oto garść tych dokumentów niektóre z komentarzami tygodnika paryskiego (w nawiasach).

7 maja. Wielka wstrzemięźliwość w ocenie przyszłych widoków dyplomatycznych. Podawać szeroko korespondencje zagraniczne o zwycięstwie włoskiem, bez komentarzy i bez interpretacyj.

Nie podawać wiadomości o zamachu na dostojnika w San Remo.

8 maja. Przestać ogłaszać zawiadomienia o obcięciu piątej części poborów.

9 maja. Nie zajmować się na razie sprawą kawy abisyńskiej i możliwego jej przywozu do Włoch.

(Zakaz ten jest prawdopodobnie wynikiem faktu, że kawa, zaraz po pierwszem sprowadzeniu, okazała się towarem najhaniebniejszego gatunku).

21 maja. Nie zajmować się sesją Międzynarodowego Biura Pracy.

27 maja. Zupełna obojętność co do reksistów belgijskich.

Pod groźbą najsurowszych kar powstrzymać się od czułostkowości i roztkliwiań się nad abisyńczykami. Żadnych wzruszających opowiadań, żadnego bratania się. Ostry i stanowczy przedział między rasą panującą a rasą, nad którą się panuje. Żadnych teoretycznych rozważań na ten temat i pamiętać, że rozporządzenie niniejsze dotyczy wszystkiego, co ma związek z Afryką.

5 czerwca. Nie mówić o bezrobociu w Afryce Wschodniej.

12 czerwca. Zaprzestać pisania o projekcie kostnicy w Amba Alagi, ani o liczbie zmarłych, których będzie mogła pomieścić. Gdyby jeszcze notatka ta nawinęła się w jakiejś korespondencji z Afryki Wschodniej, nazywać ją Kaplicą wotywną (Cappella Votive) („dziękczynna") ale nie Kostnicą.

(Prawdopodobnie zakaz mówienia o Kostnicy pochodzi stąd, że większość zwłok została pożarta przez drapieżne ptactwo, przez szakale i hjeny).

28 czerwca. Żadnych artykułów i żadnych komentarzy z powodu śmierci Gorkiego. Podać tylko wiadomość o zgonie i conajwyżej tytuły dzieł.

4 lipca. Skracać biuletyny o chorobie Anny Marji Mussolini.

6 lipca. Po dzisiejszym komunikacie nie wracać już do Anny Marji Mussolini. Usunąć kronikę wypadków międzynarodowych, i nie dawać jej więcej na pierwszej stronie. Żadnych artykułów, ani komentarzy.

MUZEUM OSOBLIWOŚCI

Kościół rzymski jest, jak wiadomo, instytucją surową i nieugiętą. Ale czy dla wszystkich? Czy jednakowo dla bogatych i ubogich? Dla możnych i słabych? Dla władców i zwykłych obywateli?

Zamiast odpowiedzi niechaj posłuży nam przykład z historji, przedstawiający sposób, w jaki Napoleon uzyskał od episkopatu Francji rozwód z Józefiną, ażeby następnie pokusić się o rękę arcyksiężniczki austrjackiej.

Cesarzowi Francuzów nietrudno było przekreślić ślub cywilny. Ale jak rozwiązać ślub kościelny? Jakie ku temu wynaleźć preteksty?

Zrazu Napoleon zamierzał zwrócić się do Piusa VII. Ale rychło zamiar ten porzucił. Papież odmówiłby mu z pewnością. Wszak on to właśnie domagał się, jako warunku koronacji, dopełnienia ślubu wedle obrządku religijnego. I sam był tego ślubu świadkiem.

Wtenczas zebrała się rada biskupów. Święci ojcowie orzekli, że trzy powody mogły być brane pod uwagę: tajność, brak zgody stron zawierających małżeństwo, nieobecność proboszcza właściwej parafji, czyli brak właściwego księdza.

Co do tajności, to ta była niewątpliwą gdyż obrzęd ślubu odbył się potajemnie w przeddzień koronacji.

Brak zgody stron stających przed ołtarzem również, od biedy, mógł być wysunięty, gdyż można było wyobrazić sobie, że Napoleon, zawierając małżeństwo, uczynił w myśli zastrzeżenie połączone z rachubą dynastyczną na potomka, jako dziedzica tronu.

Trzeci wreszcie powód mógł być zaczerpnięty z faktu, że ksiądz był niewłaściwy, gdyż ślubu monarszej parze udzielał w obecności papieża, nie proboszcz zwykły, lecz sam kardynał Fesch.

Arcypasterze, którym bardzo chodziło o łaski i względy cesarza, doszli do wniosku, że jeśli władza papieża jest nieodzowna do skasowania małżeństwa prawomocnego, to władza biskupia wystarcza najzupełniej, aby unieważnić małżeństwo zawarte wadliwie.

Z porywczym protestem wystąpił jeden tylko kardynał Fesch:

— Jeśli — dowodził — małżeństwo zawarte było bez jawności, to dlatego, aby nie okazywać światu, że w ciągu lat dziesięciu Napoleon i Józefina żyli, wedle praw kościoła, w konkubinacie!.. Cesarz i cesarzowa byli oboje w tym wieku, że zdawali sobie sprawę z tego, co czynią, a więc i z tego, czego czynić nie chcieli!... Nakoniec, i to jest rzecz najważniejsza, Ojciec święty udzielił dyspensy na pominięcie jednej z form prawnych, dotyczącej osoby duchownego!

Gdy doniesiono cesarzowi, że biskupi są w rozterce i zastanawiają się nad wywodami kardynała, wybuchnął gniewem:

— Zaczynają mnie ci panowie niecierpliwić!... Ja żądam, rozumiecie ja żądam, aby ślub kościelny był natychmiast skasowany przez władze djecezjalne.

Skoro cesarz wyrzekł „ja żądam", mitry nie sprzeciwiały się dłużej.

W taki to sposób uroczyście orzeczono, że akt zawarty w obecności papieża, był nieważny, że sakrament małżeństwa, udzielony przez kardynała Fescha był tylko facecją, oraz że cesarz Napoleon nie był nigdy mężem cesarzowej Józefiny.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Dramatyczny aforyzm z czasów wielkiej wojny: „Na zachodzie nic nowego", aforyzm, pod którym kryły się nieustające tragedje miljonów istot ludzkich, w ostatnich tygodniach przybrał nową formę: „Na południe od Pinerejów nic nowego". Wprawdzie depesze z Madrytu, Barcelony, Burgos i Sewilli kilka razy dziennie podają nowości z frontów, rozrzuconych po całym obszarze hiszpańskiej części półwyspu Iberyjskiego, ale aż do ostatnich dni sierpnia nie rozegrała się walka decydująca, nie zaszły wydarzenia, które by mogły stanowić o jej zakończeniu. Radjogramy stron walczących donoszą dzień w dzień o sukcesach i zwycięstwach, ale przez sprzeczność zawartych w nich wiadomości niejednokrotnie niweczą samą wiadomość, sprowadzając wynik walki do tak zwanego w szachach „remis". Ponieważ ogromna większość prasy wydawanej w Polsce ujawnia zupełny brak objektywizmu przy podawaniu informacyj z Hiszpanji, a w szczególności tytułami swemi wprowadza w błąd rzesze czytelników, warto zanalizować poszczególne momenty tych informacji. A więc około 15 sierpnia prasa reakcji polskiej (bez różnicy przynależności do obozów prorządowego, czy przeciwrządowego) obwieszczała całemu światu, że armja gen. Franco wkroczyła do Walencji i odcięła w ten sposób Madrytowi jego główną bazę morską. Okazało się, że wiadomość opierała się na informacji o zajęciu osady Walencja na granicy portugalsko-hiszpańskiej osady nie mającej nic wspólnego z wielkim portem Walencja na południowo - wschodzie Hiszpanji. Rebeljanci umyślnie rozpowszechniali wieść o zajęciu malutkiej Walencji, aby wprowadzić w błąd chętnych, lub nastraszyć przeciwnika. Gdy fałsz ten już był ustalony, ani jedno z pism, które reklamowały zdobycie prawdziwej Walencji nie czuło się w obowiązku sprostować kłamliwe tytuły i informacje.

Codzień od dłuższego czasu z krzykliwych przemówień radjowych gen. Queipo - de Llano można dowiedzieć się, że „wojska narodowe już są u wrót Irunu, a San Sebastian zdobędą lada godzina" Wszystko to powtarza się bez zastrzeżeń w wielkich tytułach ogromnej większości prasy polskiej i hitlerowskiej.

Czasami i w komunikatach rządu madryckiego ujawnia się taka propagandowa przesada, a więc donoszą np. o zdobyciu Kordoby. Jak później wyjaśnia się, miasto nie jest jeszcze zdobyte, ale istotnie wzgórza pod miastami po zaciętej walce przeszły w ręce wojsk rządowych i milicji ludowej. Taka niedokładność, niezgodność z prawdą rządowego komunikatu jest oczywiście w tej chwili w Warszawie i Krakowie przypieczętowana. Natomiast najgorsze łgarstwa z Sewilli i Burgos powtarzane są jak słowa pacierza, jednakowego w wszechświatowym obozie reakcji.

Z faktów strategicznych jednym z większych w ubiegłych 2 tygodniach sierpnia było niewątpliwie zdobycie przez wojska rebeljantów miasta Badajoz w Estremadurze w pobliżu granicy Portugalji. Ale o tem, jak odbyło się to zdobycie i co działo się po tem w mieście, organy „bogobojne" i „praworządne" w Polsce wolały nie pisać z wyjątkiem jedynie „Kurjera Warszawskiego", którego korespondent zajrzał do paryskiego „Temps". Wielki dziennik francuski, zwalczający Front Ludowy we Francji i nie usposobiony wcale szczególniej życzliwie dla lewicy hiszpańskiej doniósł bezpośrednio z Badajoz straszne szczegóły tryumfu „armji narodowej". Jeżeli pisze się o okrucieństwach i rozstrzeliwaniach, dokonywanych przez walczący w obronie ustroju i państwa rząd madrycki, to dlaczego pomija się milczeniem wyczyny marokańskich wojowników gen. Mola i gen. Franco. Oto co pisał o zdobyciu Badajoz „Le Temps": „Natychmiast po wkroczeniu do miasta milicjanci i wszyscy podejrzani zostali rozstrzelani. Do tej chwili (pisano w dniu zdobycia miasta o g. 22 m. 20) rozstrzelano już około 1200 osób. Widzieliśmy chodnik przed gmachem commandancia (komendantury) zalany krwią, a w krwi tej leżały ciała torturowanych przed zgonem. Katedra, do której schroniły się niektóre rodziny mieszkańców miasta, nie jest zniszczona, ale wszystko wewnątrz przewrócone do góry nogami. Ciała dwóch milicjantów leżą na stopniach przed głównym ołtarzem w miejscu, gdzie ich zamordowano. Aresztowania i masowe egzekucje trwają na placu de los Toros".

Oto opis bezstronnego świadka, pominięty zupełnie przez prasę faszystowską różnego autoramentu i przez wszelakie brukowce w Warszawie.

Po 6-ciu blisko tygodniach walk można zdać sobie sprawę z położenia, odrzucając na bok fantastyczne i ignoranckie tytuły, pod któremi informuje część prasy polskiej swoich czytelników o Hiszpanji.

Bunt wojskowy wszczęty przez grupę generałów został zdławiony w Madrycie i całej Katalonji, osiągnął sukces w Sewilli, Granadzie, Saragossie i prowincji Nawarra.

Taki był stan rzeczy od pierwszych dni rewolty. Do tego trzeba dodać opanowanie przez zbuntowanych oficerów Marokka i wysp Kanaryjskich, a następnie wysyłanie desantów samolotami na południe Hiszpanji. Siły zbrojne zbuntowanych generałów znakomity znawca wojskowy generał Niessel oblicza na 50.000 ludzi. Od czasu zajęcia przez rewoltę wspomnianych stanowisk nie wiele zmieniło się. W wąwozach i wśród łańcucha gór dzielącego Madryt od zbuntowanej Nawarry pozycje obecnie nie wiele różnią się od pozycji z przed miesiąca. Na Samo-Sierra i Sierra Guadarama milicja ludowa i żołnierze bronią dostępu do stolicy. Nic nie zapowiada, aby z tej strony zdołał gen. Franco wedrzeć się do „czerwonego Madrytu".

Linja frontu na południu Madrytu przechodzi około Toledo. W Andaluzji wojska gen. Franco trzymają się tam, gdzie zdołały wylądować na włoskich samolotach pod opieką niemieckich okrętów w la Linea, w Algeciras i przeciągają przez Sewillę do Kordoby Natomiast w tejże Andaluzji Malaga jest nadal bazą wiernej rządowi floty. W Aragonji, w dorzeczu Ebro bunt zagarnął Saragossę i o nią toczy się bój jak dotąd bez wyniku. Walczą tu siły zbrojnej, wolnej od rebeljantów Katalonji, która zdołała bardzo szybko zgnieść swoich przeciwników, a obecnie stanowi ośrodek organizacji przemysłu wojennego dla obrony republiki.

Wreszcie w pogranicznej z Francją prowincji baskijskiej — Guipuzcoa główne ośrodki i linja obrony są w rękach milicji rządowej, a jak dotychczas ataki Karlistów popartych przez wojska gen. Mola nie dały żadnego wyniku. W Asturji — prowincji górników — jedynie w Oviedo tkwią rebeljanci. Oto najważniejsze momenty dotychczasowego układu sił.

W Afryce gen. Franco zarządził zaciąg do armji Maurów — Kabylów, nie idą oni chętnie do armji hiszpańskiej. Jeden z Kadich (naczelnik okręgu) który odmówił dokonywania zaciągu, został rozstrzelany. Ta część Maurów marokańskich, która wkroczyła obecnie do Hiszpanji pod wodzą „patrjotycznych" i „narodowych" generałów oczywiście da się jeszcze we znaki Hiszpanji bez względu na wynik walk. Należy liczyć się ze wznowieniem niepodległościowego ruchu arabskiego w Marokko. Zważywszy objektywnie stan rzeczy należy wyciągnąć wniosek, że zupełną rację mają ci członkowie rządu hiszpańskiego w Madrycie, którzy wierząc w zwycięstwo słusznej sprawy republiki i ludu hiszpańskiego, mówią, że walka będzie długotrwała Taką opinję wygłosili niedawno prezydent Azana, premjer Giral i przewodniczący kortezów Martinez Barrio.

Na przedłużenie walki wpływają przedewszystkiem, te czynniki międzynarodowe, które niewątpliwie przyczyniły się do wybuchu powstania. Dowodem tego są przewlekłe rokowania dyplomatyczne, podjęte z inicjatywy Francji na rzecz wspólnej deklaracji o nieinterwencji. Berlin i Rzym uczyniły wszystko, aby rokowania te ciągnąć jaknajdłużej, najwidoczniej w tem przekonaniu, że ich klijenci za Pirenejami zdążą zwyciężyć. Później nastąpił groteskowy wyścig pomiędzy Włochami a Niemcami i w chwili kiedy Berlin wyszukał nowe trudności, wywołując ostry spór o zrewidowanie przez rząd hiszpański parowca „Kamerun", Włochy zgodziły się na deklarację o nieinterwencji z zastrzeżeniami. Gdy przyszła do Paryża zgoda włoska, wówczas nagle Niemcy, nie czekając na likwidację zatargu o „Kamerun" zgodziły się na zakaz wywozu sprzętu wojennego do Hiszpanji. W Londynie i Paryżu odetchnięto z ulgą.

Aliści tegoż 24 sierpnia wieczorem Hitler ogłosił dekret przedłużający okres służby wojskowej z 1 do 2 lat, co da Niemcom w 1937 r. armję złożoną z miljona żołnierzy.

Krok ten został dokonany tego samego dnia, gdy w ponurym procesie przeciwko trockistom zapadł wyrok skazujący 16 ludzi z weteranami rewolucji Zinowiewem i Kamieniewem na czele na śmierć. Niebywały ten i ohydny proces, którego kulis i istotnego podłoża nie znamy, świadczy w każdym razie dobitnie o tem, iż wbrew legendom rozpowszechnianym z Berlina t. zw. trockizm nie jest wykonawcą rewolucyjnych zamiarów Rosji Sowieckiej na świecie. Prawda o ostatnim procesie moskiewskim wyjdzie na jaw, tak samo jak niewątpliwie otworzą się niezadługo karty tych, którzy posłali samoloty do Marokka, okręty do Gibraltaru, a liczebność armji niemieckiej zdwoili w tem przekonaniu, że z ogólno-światowego wstrząsu można będzie wybudować Imperjum hitlerowskie, burząc wolność wszędzie tam, gdzie się ona przechowała.

C. D.



LISTY CZYTELNIKÓW «EPOKI»

I

Materjały w sprawie Stanisława Brzozowskiego.

Szanowny Panie Redaktorze.

W związku z artykułem „Odwalić kamień hańby" i stosownie do propozycji Pana, aby wypowiedzieli się „wiarogodni świadkowie życia Brzozowskiego, póki żyją", — przesyłam następujące wspomnienie, które może zawiera klucz do rozwiązania tej sprawy.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, że ze Stasiem Brzozowskim znaliśmy się od wczesnej młodości, t. j. kiedyśmy mieli mniej więcej po lat 6. Ojciec Stasia Brzozowskiego był wtedy plenipotentem hr. Poletyłły w dobrach Wojsławice powiatu Chełmskiego, ojciec zaś mój miał dzierżawę jednego z folwarków w tych dobrach. Stary pan Brzozowski, ojciec Stasia, miał ładną bibljotekę, z której korzystaliśmy, czytając książki zakazane. Założyliśmy ze Stasiem wtedy „konfederację Wojsławską", która miała na celu ni mniej ni więcej tylko wypędzenie Moskali z Polski. Pamiętam, że było nas konfederatów pięciu i uczyliśmy się strzelać z flowerów i jeździć konno. Zjazdy konfederackie odbywały się w okolicznych lasach wojsławskich.

Kiedyśmy mieli po lat 9, oddano nas do prywatnej szkoły przygotowawczej Kapitanowa w Lublinie, gdzie przygotowano nas do gimnazjum. Podczas pobytu w gimnazjum (za Siengalewicza) mieszkaliśmy ze Stasiem na stancji u pani Habinakowej przez 2 lata, w trzecim zaś roku Staś wyjechał z rodzicami do Niemirowa, gdzie ukończył gimnazjum ze złotym medalem. Spotkaliśmy się znowu na uniwersytecie warszawskim i mieszkaliśmy nawet przez rok razem z kolegami Minkiewiczem i Kiełczewskim. Potem ja zamieszkałem osobno. Po jakimś czasie Brzozowski został aresztowany, a ja w krótkim czasie później byłem zesłany na lat 3 do kraju Zakaukaskiego.

Po trzech latach powróciłem do Warszawy, gdzie zastałem Brzozowskiego jako literata i dziennikarza. W tym czasie mieszkał on, zdaje się, na ul. Składowej (?), i wtedy zdarzył się fakt, który chcę opowiedzieć.

Zaszedłem do księgarni Karbasnikowa na Nowym Świecie, aby kupić książkę rosyjską, którą zobaczyłem na wystawie. Gdy opakowywano mi tę książkę, zwrócił się do mnie jakiś Moskal (lat około 30, wysoki, w niebieskich okularach z rudawą podstrzyżoną na szpic brodą), pytając mię, czy nie znam jakiego studenta, któryby mógł mu przetłumaczyć na język rosyjski kilkanaście stronic z pism świętego Augustyna, przyczem obiecywał że zapłaci dobrze za tę robotę. Przypomniałem sobie, że Brzozowski miał łacińskie i francuskie wydanie świętego Augustyna, (wogóle posiadał dużą, ładną bibljotekę) pozatem wiedziałem, że jest w potrzebie, gdyż przed dwoma dniami pożyczył odemnie parę rubli. Powiedziałem przeto temu jegomościowi, który w międzyczasie przedstawił mi się jako profesor Duchownej Akademji w Kijowie, że znam młodego literata, który posiada dobrze język rosyjski i potrafi zrobić to tłumaczenie. Profesor zaproponował, abyśmy natychmiast pojechali, gdyż tłumaczenie jest mu bardzo potrzebne.

Pamiętam, że po drodze chwalił mi się że jest synem biskupa prawosławnego, ja zaś wyraziłem zdziwienie, iż biskupi prawosławni, którzy są mnichami, mają dzieci. Wyjaśnił mi, że ojciec jego został mnichem po śmierci żony, więc wszystko jest w porządku.

Brzozowski znalazł w swej bibliotece potrzebne ustępy z pism św. Augustyna i zgodził się na przetłumaczenie 30 stronic druku. Wynagrodzenie ustalone zostało na moją propozycję na sumę 200 rubli, które profesor wypłacił i pożegnawszy się wyszedł. Brzozowski mówił, że jest to wynagrodzenie bardzo duże i miał wyrzuty, że obdarł tego „mego znajomego", a zdziwił się, gdy powiedziałem mu, że Moskala tego poznałem przed godziną, i że niema racji, aby pracować tanio dla jakiegoś profesora Duchownej Akademji w Kijowie.

Wkrótce po tym fakcie wyjechałem za granicę, i wogóle nie myślałem o tem wydarzeniu, dopóki po wielu latach nie dowiedziałem się, że Brzozowski pisał do jednego ze znajomych swoich (mówiono mi, że do prof. Klingiera) do Kijowa, prosząc, aby udał się pod pewnym adresem, dla odebrania pieniędzy, które należą mu się za pracę w jakiemś wydawnictwie. Okazało się, że takiego wydawnictwa nigdy w Kijowie nie było.

Otóż widać z tego, iż Brzozowski został wprowadzony w błąd przez jakichś ludzi, którzy udawali wydawców w Kijowie, widać, że pracował dla nich i miał z nimi pieniężne stosunki. Pozatem w czasie zajęcia Warszawy przez Niemców znaleziono w archiwum magistrackiem wykaz osób (trzydzieści kilka), którym ochrana wypłacała pewne sumy. W wykazie tym znajdowało się nazwisko Brzozowskiego przy sumie 600 rubli za referat „Rozwój socjaldemokracji w Priwislinskom kraje", przyczem zrobiona była adnotacja, że referat jest *bez nazwisk* (przy innych nazwiskach podobnych adnotacyj nie było).

O fakcie odnalezienia wykazu pracowników ochrany i adnotacji o braku nazwisk w referacie Brzozowskiego dowiedziałem się od p. Feliksa Turowicza, b. redaktora „Robotnika".

Reasumując to wszystko, przyszedłem do przekonania, iż Brzozowski, pisząc swój artykuł (który dostał się do ochrany, jako referat podobno potrzebny księciu Imeretyńskiemu dla przesłania do Petersburga), myślał, że pisze dla wydawnictwa rewolucyjnego (możliwe, że dla tego wydawnictwa w Kijowie, które okazało się fikcją), wspomniany zaś przeze mnie profesor, który zapłacił tak hojnie za tłumaczenie pism św. Augustyna, mógł być ajentem ochrany, który potem mógł zamówić artykuły dla nieistniejącego wydawnictwa w Kijowie. Zamówienie do Kijowa mogło być konsekwencją kijowskiego profesorstwa pewnie również fikcyjnego. Kto tylko znał Brzozowskiego, ten wie, że zarzut zdrady jest absurdem; teza, iż Brzozowski świadomie pracował w ochranie jest niemożliwą. Rzecz prosta, że zachodzi tu fakt perfidnego oszustwa ze strony ajentów ochrany, którzy, jak wiadomo, często występowali w roli rewolucjonistów.

Że artykuł Brzozowskiego był pisany dla pism rewolucyjnych, dowodzi fakt, iż był pisany bez nazwisk, aby nie narażać ludzi, czyli że był pisany tak, jak zwykle pisano podobne artykuły w pismach rewolucyjnych.

Jeżeli przyjąć moje przypuszczenia, to zupełnie zrozumiałemi stają się słowa Brzozowskiego podczas zeznań Bakaja:

„Powtoritie, czto wy mnie dawali dieńgi", jak również i odpowiedź Bakaja:

„A wsio taki wy służyli w ochranie". — gdyż Brzozowski otrzymywał pieniądze nie od Bakaja, lecz zapewne otrzymał je od jakiegoś mniemanego rewolucjonisty (może tego profesora z Kijowa) Bakaj zaś, chociaż sam nie płacił, jednak wiedział, że ochrana wypłaciła pewną sumę za artykuł Brzozowskiego, a nie przypuszczał, że Brzozowski nie wiedział, skąd pochodziły te pieniądze.

W ten sposób zagadka byłaby rozwiązana. Fakt, iż Brzozowskiemu nie wydało się podejrzanem, iż za jeden referat (o którym wiemy z notatek ochrany) zapłacono mu sumę tak wielką, a mianowicie 600 rubli, wyjaśniam w ten sposób, że Brzozowski przesyłał do Kijowa prac wiele, i za to wszystko otrzymał od mniemanego wydawnictwa 600 rubli; nie dość na tem, widocznie, że za pracę swoją

spodziewał się więcej, kiedy zwracał się z prośbą o wyszukanie tego kijowskiego wydawnictwa, które nigdy nie istniało, a którem mogła być ochrana. Zerwanie stosunków z Brzozowskim przez nieistniejące kijowskie wydawnictwo (czytaj ochranę) dowodzi, iż ochrana zrozumiała, iż nigdy nie będzie w stanie uczynić z Brzozowskiego szpiega. Czas już najwyższy, aby prostą tę i jasną prawdę zrozumiało własne społeczeństwo, gdyż Stanisław Brzozowski nie mógł być szpiegiem.

Racz przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku

Grzegorz Winogrodzki
dyrektor gimnazjum w Łasku.

II

Pragnę wyłożyć rzecz następującą i proszę uprzejmie Pana Redaktora o wydrukowanie jej na łamach *Epoki*, w piśmie, którego jestem pilnym i stałym czytelnikiem. Otóż, tak się złożyło, że od wielu lat nie byłem w okolicach Cytadeli warszawskiej. W tych dniach, jadąc na Żoliborz nietylko przyglądałem się nowej i ładnej dzielnicy, ale także zwracałem pilną uwagę na nazwy nowych ulic. Przeczytałem więc naprzód na jednej z narożnych tabliczek: Ulica *Krajewskiego*. Ale jakiego? Warszawa znała świetnego chirurga Krajewskiego, dalej: zasłużył się wielce krajowi Henryk Krajewski, adwokat, działacz społeczny, powstaniec 63 r., trzykrotnie więziony i trzykrotnie deportowany do Rosji; ale był też i Rafał Krajewski, budowniczy, członek Rządu Narodowego 63 r., komisarz spraw wewnętrznych, stracony na stokach Cytadeli wraz z czterema innymi członkami tego Rządu. Sądzić wolno, że tę właśnie postać miasto miało na uwadze, nadając ulicy, sąsiadującej z Cytadelą, nazwę: Krajewskiego. Ale dlaczegóż pominięto imię? Żeby było trudniej zgadnąć nowym pokoleniom? Jest to niewątpliwie oddawanie hołdu w połowie i częściowe tylko utrwalanie pamięci tej szlachetnej postaci Warszawy. Dziwić się należy, że zbiorowy mózg miejski popełnia takie nieścisłości, które nadto rażą swoim nietaktem i w pewnym sensie stanowią dotkliwą krzywdę. Ale ten nietakt i ta krzywda moralna występują jeszcze jaskrawiej w świetle nazwy sąsiedniej ulicy: generała *Zajączka*. Wprawdzie był to niegdyś zasłużony żołnierz kościuszkowski i napoleoński, ale już jako namiestnik Królestwa przemienił się *w moskiewskiego służalca* i srogiego gnębiciela Polaków. Jako *zausznik w. ks. Konstantego, błogosławił cara* i wspólnie z katem i dusicielem młodzieży, osławionym Nowosilcowym, gen. Zajączek był zaufanym doradcą okrutnego wielkorządcy carskiego. Cóż to więc za tytuł ma Warszawa czcić imię sługi naszych ciemiężców i utrwalać pamięć Zajączka, dość haniebną? Raczej przemilczać pilnie wypadałoby to nazwisko, niż honorować je w nazwie ulicy. W czyich to głowach ulągł się ten potworny pomysł i czemu to przypisać, że nie zwrócono dotąd na to uwagi i że nie żachnęło się serce patrjotyczne Warszawy Traugutów i Mireckich? Cóż to za widowisko na ulicach, kiedy to obok miejsca kaźni najlepszych synów Polski, łączy się w napisach nazwisko Polaka, gnębiciela rodaków na służbie carskiej z nazwiskiem Krajewskiego, ofiary i męczennika za wolność polską?

Raz jeszcze proszę o łaskawe wydrukowanie listu niniejszego w interesie publicznym, spodziewam się bowiem, że przez *Epokę* dotrze może do Zarządu miasta głos zdumienia starego patrjoty i wiernego syna Warszawy, który radby widzieć inne, bardziej zasłużone imię dla wolności, związane historycznie z murami stolicy.

A może kto inny mnie jeszcze poprze, może rozlegnie się chór głosów tych wszystkich ludzi, co czują tak samo jak ja, ale o tej stosunkowo drobnej, lecz bardzo bolesnej sprawie nie wiedzieli.

Józef Węgliński

OD WYDAWNICTWA

Prenumeratorów »*Epoki*«, którzy dotychczas nie nadesłali należności za kwartał ubiegły t. j. czerwiec, lipiec i sierpień r. b. (zł. 3.—), prosimy o bezwłoczne jej uregulowanie, by uniknąć przerwy w otrzymywaniu pisma.

Przedpłatę zaś na miesiące następne prosimy nadesłać w kwocie zł. 4.— (za 4 miesiące t. j. do końca r. b.), a to w celu uproszczenia czynności administracyjnych. Do numeru niniejszego dołączamy blankiety P. K. O.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 2934 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.